

HIBERNATUS

10¢

Gambli



ORBITAL

ISBN 83-01-01773-8 01



9 778301 011738

ADHAT
2008



BAZA

ROZDZIAŁ PIERWSZY

- John! Wracaj natychmiast! Obiad stygnie!

Mały chłopczyk uniósł głowę znad starego, pogniecionego magazynu, spojrzął w stronę domu i dobiegającego z ganku głosu matki. Zamknął ostrożnie gazetę i z czułością, właściwą dziecku obchodzącemu się ze swym najukochańszym skarbem, schował ją pod obłuzowaną deskę podłogi drugiego piętra stodoły.

- John! Gdzie się podziewasz?!

Chłopiec poderwał się, przemknął w dół po drabinie i wybiegł z półmroku na podwórze zalane blaskiem popołudniowego słońca.

Soczyście zielone liście drzew szumiały na wietrze, trawa na pastwisku falowała pod delikatnym dotknięciem wiatru, a żyto złociło się na pobliskich polach. Ogród matki rozsiewał cudowny zapach bzu i magnolii.

Huk wyrwał go ze snu. Otworzył oczy i zaczął nasłuchiwać - odruchowo. Cisza. Tylko w oddali odgłosy serii z karabinów maszynowych i kolejne, oddalające się wybuchy.

Podniósł się z podłogi i wyjrzał ostrożnie przez strzaskane jakimś dawnym wybuchem okno. Wszędzie, jak okiem sięgnąć, ciągnęły się ruiny - cmentarzysko upadającej cywilizacji, martwe, puste skorupy kamienia starego miasta.

Zaczął metodycznie zwijać spiwór. Trzeba poszukać czegoś do jedzenia - pomyślał kończąc pracę i zapakował zawiniątko do plecaka. Narzucił pakunek na plecy, zszedł ostrożnie po skrzyjących schodach z trzeciego piętra zniszczonego budynku i ruszył przez gruzy. Gdzieś z daleka dobiegł kolejny huk, a zasnucone chmurami niebo rozjaśnił na chwilę błysk eksplozji.

Stary Timy zakrztusił się gwałtownie i prawie rozlał cienką zupę, którą jadł. Jeden z czujników ruchu musiał coś wykryć, bo rozległ się przenikliwy dźwięk z konsoli i wściekle zapulsował na czerwono ekran... po raz pierwszy od pięciu lat!

Starzec pokuśtykał pospiesznie do monitora i wystukał parę komend - interfejs graficzny nie działał od czasu, gdy padł procesor odpowiedzialny za jego obsługę. Chwilę trwało nim kamera zaskoczyła, a dawno nie używany system nadzoru wizualnego przełączył tryb wyświetlania i przekazał analogowy obraz na monitor.

Jakiś mężczyzna wchodził właśnie w wewnętrzny obręb ogrodzenia. Jak, do stu diabłów, dostał się tak daleko nie uruchamiając czujników przy zewnętrznym murze?

- Zbyt długo tam nie zaglądałem - mruczał do siebie Timy. - Zbyt długo. Te cholerne kwaśne deszcze. Szlag trafił pewnie całą instalację.

Mężczyzna wyszedł z obszaru monitorowanego i zniknął na chwilę. Starzec czekał cierpliwie, aż system przeskoczy między trybami pracy i przełączy automatycznie na następną kamerę. Sekunda mijała za sekundą i nic się nie działo. Jeszcze moment... Nic.

Staruszek zaklął szpetnie i przeszedł na sterowanie ręczne. Jedna kamera - ciąg instrukcji, druga - ciąg instrukcji, trzecia... Nic.

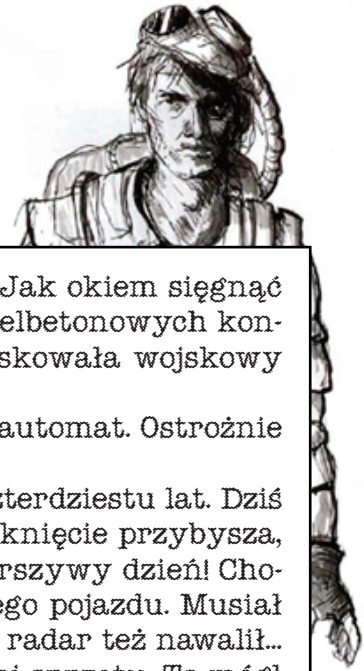
- Niemożliwe...! - warknął.

Przez kilka chwil przełączał jeszcze obraz z kamery na kamerę, sprawdził rejestr czujników - znowu nic.

Podniósł się w końcu gniewnie z krzesła i, klnąc na stary sprzęt, ruszył do szafki. Założył płaszcz, wydobył karabin, załadował magazynek i sprawdził komputer balistyczny.

- Tylko na tobie można tu polegać, Betii - zachrypiał nerwowo do starej G36-ki i wyszedł na piaskową kurzawę.

Krótki bieg po stalowych rusztowaniach. Szlag by to trafił, żeby w jego wieku... Schody. Wszystko się sypie. Nowoczesna technika - dobre sobie! Śluza. Chociaż to już w końcu prawie trzecia dekada. Jeszcze korytarz ewakuacyjny i był już poza terenem labów...



Cisza. Wiatr huczał w ruinach bazy, niosąc drobinki pustynnego pyłu. Jak okiem sięgnąć martwe cmentarzysko, uginających się pod ciężarem lat, metalowych i żelbetonowych konstrukcji - atrapa zakładu otrzymywania fosforu, która przed wojną maskowała wojskowy ośrodek doświadczały.

Timy jeszcze raz sprawdził ustawienia balistyki i przełączył na pełen automat. Ostrożnie ruszył w kierunku kamery, która ostatnio zarejestrowała obcego.

Starzec znał bazę jak własną kieszeń. W końcu mieszkał tu od ponad czterdziestu lat. Dziś jednak czuł się nieswojo. Awaria czujników zewnętrznych, zagadkowe zniknięcie przybysza, brak odczytu z sensorów wewnętrznego systemu zabezpieczeń - co za parszywy dzień! Cholera, i jak on się tu dostał na piechotę? Przecież radar nie wykrył żadnego pojazdu. Musiał przejść ponad sto mil pustyni. I po co? Tutaj nie ma nic oprócz bazy. Może radar też nawalił..

Baza! Ale skąd o niej wie? Timy pożałował, że nie zabrał ze sobą więcej sprzętu. To mógł być jakiś cholerny złodziej, który chce się dostać do jego rzeczy. Albo szpieg. Tylko czyj...? Tak czy inaczej, z takimi to nie przelewki. W końcu świat to już nie piaskownica. Nigdy nią właściwie nie był, ale teraz to prawdziwe pole minowe dla każdego, kto zapuszcza się na nieznane tereny.

Gdzie on się podział? Starzec przyklęknął w miejscu, gdzie parę minut wcześniej przechodził obcy. Jasna cholera! Ślepnę, czy co? Mam zwidy? Timy stawał się coraz bardziej nerwowy. Miał już parę razy do czynienia z intruzami, zwykle jednak system radził sobie z nimi sam. Albo wpadali na miny przed zewnętrznym ogrodzeniem, a on znajdował później szczątki, albo załatwiał sprawę za pomocą działek. A teraz musiało się sypnąć. Akurat na stare lata!

Timy podniósł się i syknął z bólu, bo coś strzeliło mu w krzyżu.

- Nie radzę - warknął, odwracając się błyskawicznie. - To cacuszko wypcha cię ołowiem jak indyk na święta dziękczynienia, zanim zdążysz pierdnąć - wyrecytował jednym tchem.

Nieznajomy kiwnął powoli głową i odsunął ręce od tułowia.

- Coś ty za jeden?

- Jestem John.

- Bardzo, cholera, interesujące. Po coś tu przylazł? Ten teren jest zajęty. Nie widziałeś tablic?

Nieznajomy znowu kiwnął głową, potwierdzając nie wiadomo którą część wypowiedzi starca. Cisza ciągnęła się nieznośnie długo. Ręce Timy'ego zaczęły się pocić, mimo że noc była zimna.

- Czujny jesteś - powiedział z uznaniem obcy, całkiem jakby to nie w niego mierzyła lufa nowoczesnego, szybkostrzelnego karabinku piechoty.

- I szybki jak na swój wiek.

- Co ty mi tu do diabła...

- Spokojnie - przybysz uniósł dłonie. - Nie szukam kłopotów i nie mam zamiaru cię skrzywdzić. Szukam tylko pewnych danych.

- Ty skrzywdzić mnie? - Timy zaśmiał się nerwowo. - Człowieku, umrzesz zanim mrugniesz.

- Możliwe.

Starzec powoli przełknął ślinę. Ciężka cholera! Co jest ze mną? Dlaczego go jeszcze nie rozwalilem?

- Opuść, proszę, karabin. Mówiłem, że nie mam złych zamiarów.

- Niech cię... A skąd ja mam to wiedzieć?

- Nie mam broni.

- Aaa... - zaniemówił z wrażenia Tim. - I przyszedłeś aż tutaj, sam, bez broni? Przez pustkowiec?

- Umiem sobie radzić. To jak?

Staruszek sam nie bardzo wierzył w to co robi, ale z jakiegoś powodu chciał zaufać obcemu.

- Dobra. Ale jeden fałszywy ruch i po tobie.

Nieznajomy po raz trzeci kiwnął głową. Starzec powoli opuścił broń...



BAZA

Świadomość powoli wracała, a wraz z nią potworny ból w skroniach. Timy otworzył oczy i przez chwilę walczył z zawrotami głowy. Dopiero po kilku minutach wspomnienia zaczęły wskakiwać na swoje miejsca.

Rozmawiali, potem on jak skończony kretyn opuścił broń i wszystko potoczyło się tak szybko, że nie bardzo wiedział co właściwie zaszło. Zdażył tylko unieść karabin, ale zanim wystrzelił, broń odskoczyła i potem była już tylko ciemność.

Poderwał się nagle i zatoczył, bo rozrywający ból eksplodował mu pod czaszką.

- Spokojnie, panie Coen. Nie chciałem uderzyć mocno, ale w pana wieku...

- Co do stu diabłów...? Jak...? Skąd ty znasz moje nazwisko?

- Było w rejestrach - nieznajomy, który przedstawił się jako John stał przy terminalu komputera. Byli w pomieszczeniu, w którym Tim mieszkał.

- Czemuś mnie uderzył?

- Musiałem mieć pewność.

- Jaką cholera pewność?! Zakradasz się do mojego domu, przekradasz niczym złodziej. Mówisz, że nie masz złych zamiarów. A potem walisz mnie w głowę! Kim ty do cholery jesteś?!

- Musiałem się najpierw upewnić kim pan jest.

- Jasna cholera... I czemu mnie nie zabiłeś?

- Uznałem, że nie jest pan już groźny. Zresztą, z rejestrów bazy wynika, że był pan pracownikiem rządowym. Ma pan prawo tu być.

- He...? Człowieku... Skąd ty się urwałeś? Rządu już dawno nie ma.

- Wiem.

Nieznajomy odwrócił się, usiadł przy konsoli i zaczął wydawać jakieś komendy.

- Hej! To tajne dane...! Nie wolno ci w tym grzebać.

- Sam pan powiedział, że rządu już nie ma.

Timy miał dość. Od pięciu lat nie widział żywej duszy, a od siedmiu nie zamienił słowa z nikim, nie licząc komputera bazy, któremu zresztą tryb komend głosowych wysiadł trzy lata temu i nie dało się go uruchomić bez części, których Timy nie miał. A teraz ten facet, wyjęty jakby z innej bajki, a jednocześnie świetnie znający zabezpieczenia bazy, pakował mu się w życie, jakby nigdy nic.

Skapitulował.

- Napijesz się herbaty? Hoduję jej trochę na poletku doświadczalnym.

- Herbata... - przybysz podniósł głowę i zapatrzył się w pustkę.

- Z chęcią... - uśmiechnął się nieznacznie. - Dziękuję.

- Więc mówisz, że skąd jesteś?

Siedzieli przy starym stole techników, na którym przed wojną nadawano materialną formę projektom najtęższych głów w Stanach. Dziś służył Timy'emu za jadalnię.

- Z... Z południa. Moi rodzice byli... farmerami.

- Byli...? Przykro mi, John.

- To było dawno. Zginęli... podczas ataku... Nie było mnie przy tym.

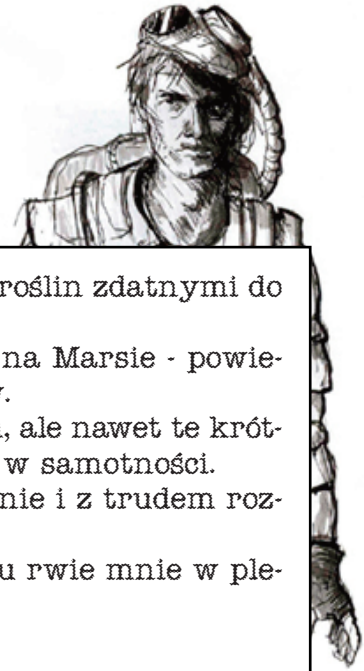
- Tak... Cóż, moi pewnie też już nie żyją. Byli starzy, kiedy zaczynałem pracować w bazie.

Milkiwy gość, myślał Timy. I dziwak. Mógł mnie zabić, a jednak tego nie zrobił. Trochę szurnięty, ale dobrze mu z oczu patrzy. Eh, dobrze wreszcie z kimś pogadać. Prawie zapomniałem jak to jest. Tyle lat...

- Grasz w karty? - zapytał. - Mam tu gdzieś trochę starych chipsów. Są lekko przeterminowane.

- Nie nadawały się do jedzenia już przed wojną. Gram - John uśmiechnął się.

Dni mijały. Jeden za drugim. Dwaj mężczyźni zagubieni gdzieś pośród pustkowi post-nuklearnego świata. Za dnia pracowali razem w "szklarniach". Zaprojektowane przed wojną



hodowle służyły niegdyś eksperymentom nad zmutowanymi odmianami roślin zdatnymi do uprawy w bazach kosmicznych.

- Kto wie, Johnny? Może, gdyby nie ta zaszrana wojna, żylibyśmy dziś na Marsie - powiedział pewnego razu Timy, gdy wspólnie sadzili nowe szczepy pomidorów.

- Nie wydaje mi się, przyjacielu - John nie był człowiekiem rozmownym, ale nawet te krótkie wymiany zdań były dla starca miłą odmianą po latach spędzonych w samotności.

- Dobrze jest znowu móc rozmawiać - starzec uśmiechnął się nieznacznie i z trudem rozprostował krzyż.

- Cholerny reumatyzm. Rok temu skończyły mi się leki i od tego czasu rwie mnie w plecach, gdy tylko dłużej popracuję.

- Myślę, że można by na to coś poradzić.

- Hmm...?

- Masz tu trochę ziół. Znam się na naturalnej medycynie.

- Codziennie mnie czymś zadziwiasz, John - Tim pokręcił powoli głową. - Czy jest coś na czym się nie znasz? Mechanika, elektrotechnika, informatyka, kryptografia, procedury bezpieczeństwa, medycyna naturalna - co jeszcze kryje się pod tą twoją czaszką?

- Ludzie.

- Co...? - Timy znieruchomiał ze skrzętem w ustach i zapalniczką w uniesionej ręce.

- Ludzie. Nie znam się na ludziach.

- Heh... - odezwał się starzec po dłuższej chwili i odpalił papierosa. - Chyba nikt się na nich nie zna.

- Czasami myślę, że Bestia z Północy zna nas aż za dobrze - szepnął John przerywając na chwilę pracę.

- Bestia...? Mówisz o tej maszynie z Kanady, która podobno wywołała wojnę?

- Nazywają ją Molochem.

- Więc ma już nawet imię. Nieszczególnie wyrafinowana nazwa, muszę powiedzieć.

- Ale bardzo trafna... Minęło już trzydzieści siedem lat. Ludzie nadają imiona swoim kosmarom, by bać się ich mniej.

- No proszę, panie psychologa. I kto tu nie zna ludzi?

- Psychologia nie tłumaczy czym jest człowiek. To tylko narzędzie służące oswojeniu własnej jaźni. Ludzie chyba nigdy nie chcieli rozumieć. Bali się wiedzy o samych sobie. Bali się tego, co mogą tam znaleźć.

- Ha! Coś w tym jest! Coś w tym jest...

Rozmowa urwała się, jak wiele innych wcześniej i obaj wrócili do wypełnionej milczeniem pracy.

Przechodzili właśnie przez ruiny starej stołówki, kierując się do Budynku Nadzoru, gdy Tim zatrzymał się nagle i zapytał:

- Mówiłeś o tym Molochem. Uważasz, że on nas dobrze rozumie. Co miałeś na myśli?

John zatrzymał się, obejrzał na starca i odwrócił powoli.

- Tak - oparł się o ścianę i zapalił kolejnego papierosa. Ostatnia paczka zaczynała świecić pustką. - On nas zna. Miał pewnie dostęp do wszystkiego co kryła w sobie sieć - literatury, sztuki, filozofii i historii. Wie wszystko, co można o ludzkości wiedzieć, nie będąc człowiekiem. Jest obiektywny. Pamięta każdy szczegół. Analizuje go wielokrotnie, zestawia z innymi i wyciąga wnioski, które z kolei weryfikuje na podstawie innych danych i wniosków. Miał na to trzydzieści siedem lat. Sporo czasu jak dla superkomputera.

John zaciągnął się głęboko, obserwując nocny horyzont.

- Piękna dzisiaj noc. Takie czyste niebo - szepnął i wypuścił dym z płuc.

- Myślisz, że TO "zastanawia się" nad nami? - cichy głos starca gubił się w martwej ciszy przedwojennej bazy wojskowej.

- A czy ty nigdy nie myślałeś o swoim stwórcy? Nie zastanawiałeś się kim jest Bóg?

- Ale... Bóg?

- Stworzyliśmy go z nicości.



BAZA

- ... Ale on nas zniszczył! Nie podnosi się ręki na Boga!

- Nie...?

- ...

- Pomyśl. Może on wcale się tak bardzo od nas nie różni.

- Cholera. Przez te wszystkie lata nie było dnia, kiedy nie zastanawiałem się nad tym, co zrobiliśmy źle, dlaczego przegraliśmy, gdzie popełniliśmy błąd... Ale nigdy nie myślałem o tej mitycznej maszynie, jak o osobie.

John pokręcił głową i po raz kolejny wypuścił dym z płuc.

- Bo to nie jest osoba. Nikt nie wie czym jest ta istota, jak myśli, ani do czego zmierza. Tak tylko myślałem... - dodał po chwili John, jakby te słowa wszystko wyjaśniały.

- Wracajmy, zbliża się burza piaskowa - rzucił po chwili gasząc papierosa i w milczeniu ruszyli w kierunku śluzy.

- Czego ty tam szukasz? Od trzech miesięcy grzebiesz w tych danych i nawet nie powiedziałaś po co? - starzec westchnął, siadając przy stole i patrosząc złapanego w sidła pustynnego królika. - Może mógłbym ci pomóc. Trochę się na tym znam, wiesz? Sam tworzyłem część z tych rejestrów.

- Jak znajdę to czego szukam, powiem ci co to jest - mruknął roztargniony John, marszcząc brwi i wpatrując się w ekran konsoli.

- Co?

- Eh... - John po raz pierwszy podczas pobytu w bazie okazał swoje emocje tak wyraźnie. Wręcz biły z niego znużenie i determinacja.

- Nie wiem dokładnie czego szukam. Chodzi o moją przeszłość, zagubioną gdzieś tam - wskazał ruchem głowy na ekran konsoli - w rejestrach.

- Czasami widzę urywki wspomnień, słyszę głosy, widzę znajome twarze, którym nie potrafię nadać imion. Szukam... chyba szukam samego siebie.

- To znaczy, że nie pamiętasz kim jesteś?

- Tak to wygląda.

- Ale znasz przecież swoje imię?

- Poznałem je we śnie. Tak wołała w nim do mnie matka. Myślę, że to była moja matka...

- Zaraz... Cholera. Przecież te rejestry nie były aktualizowane od wojny. Co chcesz tam znaleźć? Ojca? Dziadka?

- Sam nie wiem...

- Ale skąd pomyślisz, że znajdziesz to akurat tu, w komputerach bazy wojskowej?

- Jestem żołnierzem. Wiem to na pewno - John spojrzął na swoje wyciągnięte dłonie. - Te ręce zabijają tak, jakby zostały do tego stworzone.

- To jeszcze nie dowód. W dzisiejszych czasach pewnie wielu ludzi...

- Zobacz tutaj.

- Jasna cholera! - wrzasnął nagle starzec i poderwał się z krzesła.

- Co?

- Ten tatuaż... To są insygnia Marines Corps!

- Wiem. Widziałem podobne na przedwojennych zdjęciach.

- Ale w takim razie musiałbyś mieć co najmniej pięćdziesiąt pięć lat!

- Niekoniecznie.

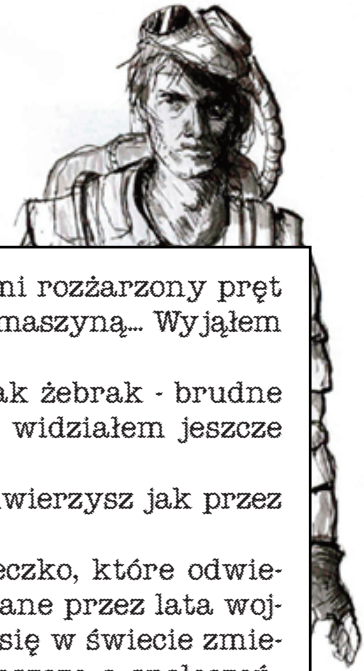
- Że jak...?

- Chyba muszę zacząć od początku. Masz gdzieś jeszcze trochę tej karbidówki?

- Coś się znajdzie - odparł po chwili milczenia Timy.

John odchylił się na krzesło i przymknął oczy, zagłębiając się we wspomnienia.

- Słyszałeś kiedyś o hibernatusach? - spytał, nie otwierając oczu, mężczyznę wpatrującego się w niego znad kieliszka.



- Obudziłem się w jakiejś kapsule. Głowa bolała mnie, jakby ktoś wbił mi rozżarzony pręt w nasadę czaszki. Ręką wymacałem coś, jakby złącze, które spinało mnie z maszyną... Wyjąłem to paskudztwo i zemdlałem.

Kiedy znowu się ocknąłem, stał nade mną jakiś człowiek. Wyglądał jak żebrak - brudne łachmany, zarośnięta twarz, popsute zęby. Tylko posturę miał inną. Nie widziałem jeszcze żebraka zbudowanego jak sportowiec. No i w ręce trzymał M4.

Kiedy odezwał się do mnie, ledwo poznałem, że mówi po angielsku. Nie uwierzysz jak przez te trzydzieści lat zmienił się nasz język.

Ludzie już nie czytają, nie ma telewizji i radia. Niemal każde miasteczko, które odwiedziłem dorobiło się własnej gwary. Nowe nazwy zastąpiły stare, zapomniane przez lata wojny i niepokoju, albo nie odpowiadające już współczesnym realiom. Tyle się w świecie zmieniło - nowe zjawiska, prawa, całkiem inne społeczeństwo. O ile można jeszcze o społeczeństwie mówić.

W końcu dogadaliśmy się jakoś. To był Łowca - tak dziś nazywają ludzi zajmujących się wyszukiwaniem pośród ruin cennych przedmiotów pozostałych po przedwojennej cywilizacji. Hiena cmentarna...

Do schronu, w którym spałem, trafił przypadkiem. Sam nie wiedział co znalazł. Ja nie bardzo mogłem mu w tym pomóc. Znałem nazwy wielu otaczających mnie rzeczy. Wiedziałem najczęściej, jak ich używać. Wiedziałem dokąd iść, żeby znaleźć to, czego potrzebowałem. Ale nie mogłem sobie przypomnieć, jak się tam znalazłem i co to za miejsce.

Oczywiste było, że to jakiś ośrodek naukowy, najpewniej należący do wojska. Stały tam tony uszkodzonego przez pożary i wybuchy sprzętu, a w paru miejscach leżały szkielety ludzi w mundurach i z bronią.

Nie licząc mojego hibernatora, w pomieszczeniu, w którym się obudziłem stało jeszcze czternaście podobnych. W środku, były głównie trupy - rozsypujące się, zasuszone mumie, które niegdyś dzieliły mój los. Zastanawiam się czasem, czy znałem tych ludzi? Może byli moimi przyjaciółmi?

W jednym hibernatorze ktoś wciąż żył. Łowca imieniem Hurlan, powiedział mi co zrobić, żeby otworzyć mój sarkofag. Powtórzyliśmy te czynności i z początku wszystko szło dobrze. Zapaliło się parę lampek, kilka zgasło, zakurzony ekran informował o kolejnych etapach procedury "wybudzania". Wreszcie hermetyczna kabina zasyczała i otworzyła się.

Mężczyzna - zdawało mi się, że znam tę twarz - otworzył oczy, spojrzał na mnie nieprzytomnie... i wtedy zaczął krzyczeć.

Do dziś nie wiem co się stało. Może za długo spał? Może jego umysł nie wybudził się do końca z koszmarów lodowego snu...? Może coś poszło nie tak, stary sprzęt nawalił po trzydziestu latach i zabił tego nieszczęśnika? Nie wiem. Wiem tylko, że kiedy Hurlan... dobił tego biedaka, poczułem ulgę. Kiedy przebrzmiał huk strzału, a krew i fragmenty mózgu z przestrzelonej czaszki zaczęły rozlewać się po kapsule, podziękowałem Bogu, że oszczędził mi tego losu. Minał rok moich wędrówek po powojennym świecie, a ten krzyk wciąż prześladowuje mnie w snach.

Chciałem obejrzeć ośrodek, Hurlan upierał się jednak, że zbliża się zmierzch i musimy szybko odejść. Wciąż byłem oszołomiony, gdy wywłókł mnie z ruin i zaciągnął do zdezelowanego pickupa.

Tak zaczęła się moja historia w powojennych Stanach.

- Wróciłem do tamtego miejsca jeszcze kilka razy. Badałem je dokładnie wraz z Hurlanem. Znaleźliśmy masę sprzętu i części. Większość nie nadawała się już do niczego - spłonęła, zardzewiała, albo została roztrzaskana. Ale to co zostało, wystarczyło, by Łowca dorobił się na resztę życia. Z tego co wiem, dziś mieszka w Vegas. Ma tam sklep z częściami i dobrze mu się wiedzie. Chyba go kiedyś odwiedzę. W końcu to pierwszy człowiek, którego pamiętam. I pewnie zawdzięczam mu życie...

Przeszukiwaliśmy cały ośrodek, kawałek po kawałeczku. Robiliśmy to zawsze za dnia i nigdy nie zostawaliśmy tam po zmroku. Nie rozumiałem tego, dopóki pewnego dnia nie znaleźliśmy przed wejściem martwego człowieka.

Nie wiem co go zabiło, ale te rany i wyraz jego twarzy... To coś musiało przechodzić koło



BAZA

mnie każdej nocy, gdy spałem tam, pod ziemią...

Nie znalazłem tego, czego szukałem. Komputery, co do jednego, były uszkodzone i martwe od dziesięcioleci. Większość dokumentacji papierowej spłonęła, a w tym co zostało nie znalazłem niczego, co dotyczyłoby mojej osoby, co chociażby przywodziło mi na myśl jakieś wspomnienia, fakty. Tylko w jednym raporcie znalazłem coś obiecującego.

Był to wykaz transferów z innych ośrodków badawczych. Nie rozumiałem o co chodzi, ale pilnie przepisałem wszystkie nazwy, kryptonimy i oznaczenia kodowe, łącznie z nazwiskami naukowców i dowódców wojskowych.

Tydzień po moim przebudzeniu zabrałem trochę broni i sprzętu znalezionego w bazie, pożegnałem się z Hurlan'em i ruszyłem w świat.

Ośrodek leżał w okolicach Memfis i do tego miasta udałem się najpierw.

Reszta historii to samotna wędrówka z miejsca na miejsce. Tu i ówdzie wynajmowałem się jako robotnik, albo ochroniarz. Jestem silny i wytrzymały, świetnie sobie radzę z bronią, znam się trochę na mechanice i medycynie. Nietrudno było mi coś znaleźć w dzisiejszych czasach. To śmieszne, ale trzeba było zagłady, żeby zlikwidować bezrobocie.

Wreszcie, po miesiącach tułaczki, w okolicach Salt Lake trafiłem na świra, który miał przy sobie starą, wojskową mapę. Zaznaczono na niej położenie kilkunastu baz i ośrodków militarnych. Nie wiem skąd ją miał. Twierdził, że to dar od duchów i chyba w to wierzył.

Mapa była właściwie bezużyteczna, bo wszystko, łącznie ze współrzędnymi, oznaczono kodami. Ja miałem jednak spisane oznaczenia baz.

Odkupiłem mapę od wariata, choć targował się jak szalony... Miałem problemy z odszyfrowaniem współrzędnych, ale w końcu jakby przypomniałem sobie jak się to robi... Sam nie wiem...

Twoja baza jest druga. Poprzednia to same ruiny. To co ocalało, ktoś wywiózł już dawno temu. Znalazłem tylko rdzewiejącą tabliczkę, która informowała, że teren należy do New U.S.Army.

- I to pokrótce cała moja historia. Przynajmniej ta jej część, którą pamiętam.

- To... Cholera. W tym wieku, po tym co przeszedłem, nic nie powinno mnie dziwić, ale twoja opowieść...

Staruszek rozprostował się na krześle i wpatrzył w kąć pomieszczenia.

- Spotkałem kiedyś takiego jednego - odezwał się po chwili. - Był handlarzem. To było jakieś siedem lat temu. Postanowiłem wtedy zobaczyć, co się stało z resztą świata. Do dziś żałuję i do dziś noga boli mnie przy każdej zmianie pogody.

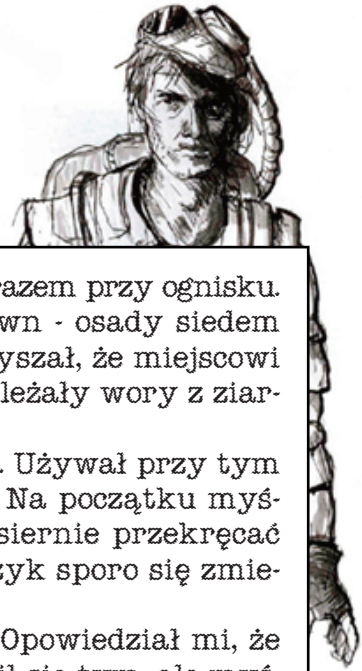
- Noc była chłodna, a niebo czyste jak tafla górskiego jeziora. Widziałem takie jezioro przed wojną. Byłem z dziewczyną na wycieczce w Górach Skalistych. Piękne wspomnienie. Mam jeszcze starą fotografię. Czasem oglądam ją, kiedy nie mogę spać.

Tydzień szedłem na zachód, aż wreszcie na widnokręgu pojawił się jakiś pojazd. Pustynię przecinała w tym miejscu stara, asfaltowa droga, a wehikuł, który wypatrzyłem był zwykłym wozem - skleconym byle jak i z byle czego. Ciągnęły go dwa osły, a powoził mężczyzna w łachmanach.

Facet był handlarzem. Jeździł od osady do osady, sprzedając i kupując co się dało. Wtedy dowiedziałem się, że pieniądz umarł. Handel wymienny. Cofnęliśmy się przez tę wojnę o kilka tysięcy lat!

Słońce właśnie zachodziło i kiedy wreszcie go dogoniłem, rozbijał obóz. Nie powiem, żeby specjalnie ucieszył się na mój widok. Pierwsze co zrobił, to wyciągnął pistolet.

Mierzył we mnie cały czas kiedy rozmawialiśmy i to zrobiło na mnie cholerne wrażenie. Ludzie już sobie nie ufają, Johnny. Nie żeby kiedykolwiek szczególnie sobie ufali, ale pamiętam, że kiedyś nie sięgało się po gnata na widok człowieka nadchodzącego drogą z naprzeciwka.



W końcu dał się przekonać, że nie mam złych zamiarów. Nawet zjedliśmy razem przy ognisku. Nazywał się Tom, albo Timoty, jakoś tak. Wracał właśnie z Churchtown - osady siedem mil na zachód od miejsca, w którym rozmawialiśmy. Wyruszył tam, bo słyszał, że miejscowi mają sporo elektroniki na wymianę, a niewiele żywności. Na wozie ciągle leżały wory z ziarnem i ziemniakami.

Tom, tak, przypomniałem sobie, nazywał się Tom, kłął w żywy kamień. Używał przy tym słów, których nie znałem. To przypominało trochę ciebie i tego Hurlana. Na początku myślałem, że to jakiś emigrant sprzed wojny. Dopiero, kiedy zaczął niemiłosiernie przekręcać różne słowa i inaczej nazywać znane mi rzeczy, zorientowałem się, że język sporo się zmienił od wojny.

Kłął, bo Churchtown okazało się wymarłe. Ludzie po prostu zniknęli. Opowiedział mi, że na miejscu zastał tylko opuszczone ruiny i porzucane rzeczy. Nie chwalił się tym, ale myślałem, że ukradł to i owo. Nie nocował w mieście. Mówił, że ciarki chodziły mu po plecach odkąd wjechał między opuszczone domy. Mówił też coś o duchach i złych mocach. Uwierzysz? Duchy, cholera! Nisko upadliśmy.

Tak czy inaczej, zaciekawił mnie na tyle, że postanowiłem odwiedzić to miasteczko. Przestrzegał mnie przed tym, ale ja koniecznie chciałem przekonać się jak to wygląda.

Następnego dnia rozeszliśmy się, on na wschód ja na zachód. Dotarcie na miejsce zajęło mi z pół dnia.

Wreszcie zza wzgórz wyłoniły się pierwsze domy. Zdziwiło mnie, że nie były zniszczone. Myślałem, że po wojnie wszystkie miasta wyglądają jak kupy gruzu. Teraz wydaje mi się logiczne, że nie sposób przecież zbombardować wszystkiego.

Miasto było jednak wymarłe. Wyglądało to tak, jakby ludzie uciekli z niego, zabierając tylko to, co mogli sami unieść. Nie było śladów walki, dziur po kulach, krwi, ciał, nic. Tylko bałagan.

Miasto musiało stać puste od niedawna, może od kilku miesięcy. Zacząłem szperać po ruinach. To było dziwne doświadczenie. Niby wiedziałem, że była wojna, że wszystko szlag trafił. Słuchałem transmisji na pasmach rządowych. W bazie mieliśmy do nich dostęp. Myślałem, że miałem lepsze pojęcie o tym co i gdzie się działo, niż jakikolwiek cywil w USA podczas wojny. Ale co innego słuchać raportów, a co innego zobaczyć to na własne oczy.

Ta pustka ruszyła coś we mnie. To był prawdziwy koniec. Nie łudzę się, że gdzie indziej sprawy mają się inaczej. Tom opowiadał mi różne plotki. Od niego wiem, że całe Stany wyglądają jak Churchtown, albo i gorzej. Mówił też o Nowym Yorku, o próbach odbudowy. Wspominał o cyberbestii na północy i o jakiejś armii, która ciągle z nią walczy. Nie mam pojęcia co to za armia musiałaby być, ale na pewno lepsza niż stare U.S.Army, bo ci nie wytrzymali za długo. Moim zdaniem, to wszystko stek bzdur, którymi karmią się ludzie, żeby jakoś przeżyć następny dzień. Zawsze mieliśmy tendencję do wymyślania legend i ubarwiania smutnej rzeczywistości.

Właśnie kiedy szperalem w poszukiwaniu jakiś informacji o tym kto i jak tu żył zanim uciekł, zaatakowało mnie to "coś".

Nie opiszę ci dokładnie jak wyglądało. Podeszło od tyłu i wbiło się w moją nogę. Wywróciło mnie na ziemię - uratował mnie tylko cud. Obok mnie upadł z półki stary kij bejsbolowy. Machnąłem nim na oślep i trafiłem. Stworzenie zawyło nieludzko i odskoczyło. Zyskałem dość czasu, żeby wyszarpnąć moją starą Berettę i walnąć kilka razy. Bestia uciekła.

Widziałem ją zaledwie przez moment. Wydaje mi się, że przypominała nieco człowieka... albo dużą małpę. Nie mam tylko pojęcia czym zrobiła mi taką dziurę w nodze.

Uciekłem z miasteczka jak najszybciej mogłem i ruszyłem z powrotem tutaj. Droga była męczarnią. Rana nie chciała się goić i zaczynała się jątrzyć. Zasklepiała się dopiero po mocnych lekach... właściwie najmocniejszych, jakie miałem tu na miejscu. Do dziś mnie rwie i nie jest w pełni sprawna. Może gdybym od razu ją opatrzył...

Od tamtego czasu nie ruszam się z miejsca. Wolę żyć tu, sam jak pustelnik, niż ryzykować spotkanie z czymś takim. Świat nie jest już dla ludzi. Tyle wyniosłem z tamtej wycieczki.



BAZA

- I od tego handlarza właśnie słyszałem o hibernatusach - ludziach zamrożonych przed wojną i budzących się do życia w nowym świecie. Do dziś myślałem, że to bajki - skończył starzec i pociągnął ostatni łyk z butelki.

- Mami!

- Co masz? - spytał wchodząc do pomieszczenia głównego komputera Tim. Wraciał właśnie z zewnątrz, gdzie od dwóch tygodni konserwował i naprawiał system zabezpieczeń. Ciągłe powtarzał, że John niedługo odejdzie, a on nie jest już młody i bez systemu może sobie nie poradzić, gdyby do czegoś doszło. Do czego miało dojść, nie mówił. John przypuszczał, że staruszek robi się zanadto ostrożny. Co mogło się stać na takim odludziu? Starość...

- Znalazłem. Wreszcie coś mam...

- Ale co? No, gadaj człowieku!

- Znalazłem to w poczcie jakiegoś Donela...

- Słyszałem o nim. Pracował tu zanim ja zacząłem. Zajmował się chyba badaniami nad tkankami mięśni i stymulowaniem ośrodków nerwowych u zwierząt. Ale przenieśli go jakoś w dwa tysiące szesnastym. Chyba gdzieś do departamentu...

- ... To mail od niejakiego Jeremiasha Gotenberga...

- Nie kojarzę.

- ... Pisze tu, że ruszył właśnie nowy projekt, do którego przygotowywali się od tak dawna, i o którym pisał już wcześniej. Tego maila nie ma. Pewnie skasowany. Pisze, że wczoraj, czyli... dwudziestego kwietnia dwa tysiące piętnastego, przysłali jakichś nowych... Gilbert Marton, Joshua Stevens, Mike Satriani i... John Dufonse! Dufonse! To moje nazwisko! Teraz sobie przypominam. Dwa tysiące piętnasty...

Ogień ustał. Czekali.

- Cholera, tych momentów nienawidzę najbardziej.

- Zamknij się...!

Nasłuchiwali. Trzecia noc w okopie. Trzeci doba na polu walki. Siedemdziesiąta godzina bez snu, w ciągłym napięciu, pod ostrzałem. I piąty miesiąc w Korei Północnej. Piąty zasrany miesiąc w błocie, deszczu, pyłe, słońcu i ten cholerny las, cholerne robactwo. Jakby poprzednim razem niczego się nie nauczyli.

A teraz siedzieli w okopie. Trzeci dzień. Po ostrzałem. Bez łączności, bo nadajnik satelitarny padł.

- Fuck. Bill, wychył no się i zobacz co tam się dzieje.

- Odpieprz się...! Jest noc, ni chuj nic w tym pieprzonym lesie nie wypatrzę. Nie chcę, żeby jakiś żółtek odstrzelił mi łeb.

- Niewielka strata - syknął Jorge.

- On ma rację, stary. Na tej polanie widać nas jak na dłoni.

- Nienawidzę pieprzonej dżungli...

- Dobra, ja pójdę.

- Johnny, daj spokój. Cholera wie ilu ich tam siedzi.

- W zasadzie mogli już pójść.

- Ta. I nie pożegnali się - parsknął ktoś z boku.

- Idę. Ktoś musi sprawdzić, co się tam dzieje.

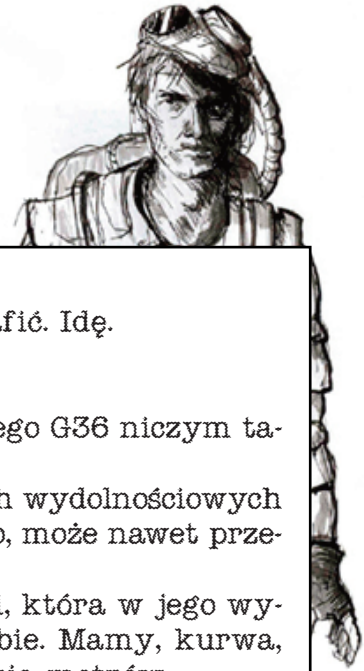
- Kurwa, siedzmy na dupie. To jest rozkaz. Jak do rana nic się nie stanie, ktoś się tam kopsnie.

Mężczyźni, którzy przylecieli na obcą ziemię jako młodzi chłopcy, pokiwali w ciemności głowami.

Mijały kolejne godziny i nic się nie działo. Zbliżał się świt.

- Co tak, kurwa, cicho?

- Dobra, idę.



- Czekaj.

- Już świta. Jak ktoś tam siedzi, to teraz najtrudniej będzie mnie trafić. Idę.

Johny poderwał się cicho i wyczołgał z okopu.

- Powodzenia, stary... - szepnął ktoś z tyłu.

John przemykał zgarbiony między krzakami. W rękach ścisnął swojego G36 niczym talizman.

Na szkoleniu okazał się najlepszym strzelcem w plutonie. Na treningach wydolnościowych też był w czołówce. Cholera, może jeszcze parę miesięcy i awansowałiby go, może nawet przenieśli.

A teraz skradał się w stronę lasu - czarnej ściany tropikalnej dżungli, która w jego wyobraźni pełna była demonów. Cholera, o czym ja myślę - pytał sam siebie. Mamy, kurwa, dwa tysiące piętnasty rok! Był już prawie na miejscu. Jeszcze dwadzieścia metrów.

Szlag, co tu tak cicho? Jakby cały las umarł. Jakby całe życie uciekło z tego piekła, byle dalej. Pieprzone komuchy. Jeszcze tamte zarośla.

Dopał do pierwszych pni. Zamarł w bezruchu nie śmiać odetchnąć głębiej. Cisza...

Wreszcie oderwał się od drzewa i powoli, nieznośnie powoli, ruszył przed siebie. Jeden krok, stop. Drugi, stop. Brnął coraz dalej. Cisza była wszechobecna. Zalewała go niczym fala, dudniła w uszach, mroziła krew, pełzała po plecach.

Trzask! Zamarł... Serce wali. Coś wypadło z krzaków. Czy już nie żyje...? Nie... Chyba nie... Jelonek uciekł w głąb lasu. Ufff...

Johny odetchnął i zaśmiał się cicho sam z siebie.

- Shit - parsknął i ruszył z powrotem do okopu.

- Idzie...!

- Macha ręką, wszystko gra, panowie. Gnoje spieprzyły.

- Heh... może to przeżyjemy, kurde, chłopaki.

Johny przyspieszył kroku. Cholera. Może doczeka się tego awansu. Kumple machali do niego radośnie z okopu.

To było ostatnie co pamiętał. I huk wystrzału. Potem szarpnięcie, nagły ból i uderzenie o ziemię. I ciemność.

- Tak, cholera! Walczyłem podczas konfliktu z Koreą Północną w dwa tysiące piętnastym! Zostałem ranny. Jasna cholera... Mam koło sześćdziesiątki.

- Mail przysłano z bazy Chimera. Nie znam takiej. Nie było jej na wykazie, ani na mapie... - John zmarszczył brwi i zaciągnął się papierosem.

- Chwila... Może... Mam. Ale tu piszą, że budowę bazy przerwano, a projekt zarzucono w dwa tysiące dwunastym... Co jest cholera?! Heh... - znowu zaciągnął się papierosem.

- Mam lokalizację. Dziwne. Przecież to Chicago! Prawie centrum. To musi być jakiś błąd. Co myślisz, Tim...? Tim...? Tim?!

Staruszek zwisał bezwładnie z krzesła i ciężko oddychał.

To był zawał. John nie mógł nic zrobić. Tim umarł tej samej nocy. System podał, że miał sześćdziesiąt cztery lata.

Pochował go w szklarniach - w miejscu, gdzie spędzali razem długie godziny pracując i rozmawiając.

Opuścił bazę dwa dni później. Zgrał potrzebne dane na laptopa, zabrał żywność i wodę ze spiżarni, starą G36-tkę Tima, amunicję z szafy i ruszył na północ.



CHURCHTOWN

ROZDZIAŁ DRUGI

Noc nad pustynią zawsze jest piękna. Jest coś magicznego w tym widoku - bezkresne, usiane miliardami błyszczących gwiazd niebo, nad oceanem piaskowych wydmy. Jak okiem sięgnąć, pustynia zalana blaskiem miesiąca w pełni.

I samotna postać stojąca na szczycie kamienistego wzgórza - w goglach i wytartym płaszczu, z karabinem w ręce oraz torbą na plecach. Obraz współczesnego człowieka.

Była kiedyś taka książka, mówiła o odległej planecie, o odległych czasach. Kto by pomyslał, że tak wyglądać będzie przyszłość naszego świata?

Juan Ribeira zatrzymał wóz i wyłączył głośno grającą muzykę. Specjalnie zatrzymał się na parkingu przed mini marketem - z dala od centrum. Lata doświadczeń w walce ze Złem mówiły mu, że nierozsądnie wjeżdżać samochodem do nieznanego, opustoszałego miasta. Warkot silnika niósł się wtedy daleko po pustych, wyludnionych ulicach i mógł przyciągnąć czyjąś niepożądaną uwagę.

Drzwi auta uchyliły się ze zgrzytem. Skórzany but wzbił obłoczek dymu z zapyłonego parkingu.

Słońce dopiero co wyłoniło się znad horyzontu. Był wczesny ranek. Ksiądz przerzucił przez szyję pasek od lornetki i chwycił torbę.

- No, to z Bogiem - mruknął i ruszył do centrum.

Ojciec Ribeira kroczył ostrożnie chodnikiem. Miał dużo czasu do zmierzchu, więc się nie spieszył. W jego służbie ostrożność zawsze popłacała. W razie czego mógł tu jeszcze wrócić.

Z lewej minął budynek, który kiedyś musiał pełnić rolę przedszkola. Przysadzista budowla w starym stylu emanowała ciemnością z pustych oczodołów powybijanych okien. Przed budynkiem stał plac zabaw.

Stara, od lat nie oliwiona huśtawka skrzypiała cicho, poruszana gorącym wiatrem ze wschodu. Zardzewiała zjeżdżalnia przechyliła się na bok, jakby przytłoczona widokiem zdarzeń, których była niemym świadkiem. W piaskownicy walały się plastikowe zabawki, porzucone przez małych właścicieli. Szmaciana lalka leżała twarzą w piachu.

Juan prawie słyszał głosy bawiących się tu niegdyś dzieci. Teraz tylko wiatr zawodził w skorodowanych, metalowych konstrukcjach. Plac zabaw... Huśtawka skrzypiała, poruszana wiatrem ze wschodu.

Znowu miał to uczucie. Coś czaiło się w tym mieście. Mrok patrzył na niego. Chyba jednak trzeba się spieszyć.

Wkroczył na mały skwerek przed kościołem. Kiedy wjeżdżał do miasta jego wzrok przyciągnęła biała wieżyczka świątyni Pana. Teraz wiedział już dlaczego. Smród czuło się na odległość. Ksiądz znał ten zapach, znał go aż za dobrze - odór zła i mutacji. W środku musiało być gniazdo potworów.

Zbadanie świątyni zajęło mu niecałą godzinę. Wiedział już z czym ma do czynienia. Agapagos - tak nazywali ich ludzie pustyni. Przychodzący Nocą.

Wróci tu za dwa dni. Potrzebował pomocy.

John był w drodze już szósty dzień, kiedy miasteczko wyłoniło się spośród skalistych wzgórz niczym miraż - resztki domów mieszkalnych, gmach ratusza, strzelista, biała wieża kościoła, blaszana bryła mini marketu i zastawiony wrakami samochodów parking przed nim - opuszczone ruiny.

Przez lata jakie minęły od wojny, pustynia podkradła się na obrzeża zabudowań. Wydmy w wielu miejscach wkraczały na teren miasta. Stara sygnalizacja świetlna sterczała z piasku

CHURCHTOWN



niczym dziwaczny totem. Asfalt skorodował i popękał. Z chłostanych ciepłymi wiatrami i piaskiem ścian całymi płatami odpadał tynk. Okna ziały pustką, zdawały się wpatrywać w samotnego wędrowca - intruza.

Co za tragedia mogła doprowadzić do wyludnienia się tego miejsca? John nie widział żadnych lejów, ani śladów wybuchów, ścian nie znaczyły dziury po seriach z karabinów. Niepokojący widok - zwłoki miasta, które umarło na nieznaną chorobę. Było w tym coś metafizycznego, przyprawiającego o dreszcz.

John szukał słowa, które mogłoby opisać to, co czuł idąc pustymi, omiatanymi wichrem ulicami. Na myśl przychodziło mu tylko jedno - ciemność.

Słońce stało wysoko na niebie. Mogła być pierwsza po południu, może druga. Nagrzane powietrze falowało, zniekształcało obraz.

Poprawił chwyt na karabinie i ruszył przed siebie wzdłuż głównej ulicy miasteczka. W przeciwieństwie do innych, które już odwiedził, zdawało się nie splądrowane. Za to wiele śladów świadczyło o tym, że ludzie mieszkali tu po wojnie. Z samochodów powyciągano akumulatory i niekiedy całe silniki. Przerobiono je na prądnice, które stały teraz przy niektórych domach. Wiele wraków odciągnięto na bok. Z innych utworzono barykady, rodzaj prowizorycznych płotów zagradzających dostęp do centrum miasta. Okna na parterze pozabijano deskami - przynajmniej tam, gdzie przed paru laty mieszkali jeszcze ludzie. Nigdzie nie widać było ciał. Jeśli podczas wojny były tu jakieś ofiary, to najwidoczniej je pochowano. Co jednak sprawiło, że miasto opustoszało? Ludzie uciekli, ale dlaczego?

Timy opowiadał o dziwnej istocie. To mógł być człowiek. Staruszek wycieńczony daleką drogą przez pustynię mógł widzieć różne rzeczy. Z drugiej strony, John słyszał już kilka podobnych opowieści. Sam podczas swych wędrówek spotkał istotę, której do dziś nie potrafił nadać imienia. Nie był nawet pewien, czy to było zwierzę.

Coś czaiło się w mrokach postnuklearnej nocy. Poczul dreszcz na plecach.

Ratusz okazał się równie pusty jak reszta miasteczka. Dziwne ułożenie mebli sugerowało, że ktoś z jakiegoś powodu zabarykadował kiedyś wejście. Teraz sprzęty leżały rozrzucone wokół wyłamanych drzwi. W środku nie było ciał. Nigdzie nie było ciał.

John schylił się i podniósł coś z pyłu podłogi. Łuska - pochodziła z broni myśliwskiej. Kto i przed kim się tu bronił? Do kogo strzelano? Łusek było więcej - niektóre, kalibru dziewięć milimetrów, wyglądały na świeże.

Przeszukał dokładnie całe pomieszczenie i parę kolejnych - ślady mieszkających tu dawniej ludzi - koce, krzesła i stoły, brzytwa na blacie i pusta butelka po winie na podłodze pod nim. W starej sali posiedzeń znalazł dwa karabiny samopowtarzalne i rewolwer .45. Tu także nie było ciał. Tylko ciemne plamy na drewnianej posadzce - stare ślady krwi. Tu umierali ludzie. A potem ktoś zawlekl ciała do tylnego wyjścia. Tutaj musiał rozegrać się epilog tragedii sprzed lat. Ostatnie tchnienie konającego miasta.

Na schodach przed ratuszem leżała paczka papierosów. John wyciągnął jednego i zapalił. Tytoń musiał pochodzić z jakiejś małej, powojennej plantacji. Na pewno nie był przedwojenny. Przedwojenne pety nie nadawały się już nawet na rozpałkę. Ten jednak smakował tak, jakby paczka została upuszczona zaledwie parę tygodni temu. Tytoń nie zdążył jeszcze skruszeć.

Ktoś był tu niedawno - myślał Johnny, zaciągając się dymem. Ktoś tu był i szybko opuścił to miejsce. Papierosy były dziś za drogie, żeby ktokolwiek mógł pozwolić sobie na zgubienie całej paczki. Leżała w widocznym miejscu - na środku schodów. Nikt nie wrócił, żeby ich poszukać.

Słońce powoli chyliło się ku horyzontowi. Do zachodu pozostały jeszcze góra cztery godziny. Ruszył w kierunku strzelającej w niebo wieży kościoła. Nie wiedział dlaczego, ale czuł, że musi dowiedzieć się, co się tu wydarzyło.

Od białego ogrodzenia okalającego teren małego kościółka i cmentarza, dzieliło go jeszcze kilkanaście metrów, kiedy poczuł ten zapach. Zapach obcy i nierozpoznawalny, ale bez



CHURCHTOWN

wątpienia organicznego pochodzenia. Zapach powodujący instynktowny niepokój gdzieś na poziomie nieświadomości.

Na cmentarzu otaczającym kościół z trzech stron, kwitły zdziczałe róże. Całe miasto pochłaniała pustynia, a tu kwitły róże...

Osadę założono na pustkowiu - myślał niejasno - Według map z bazy, stanowiło najwidoczniej sypialnię dla pobliskiej kopalni niklu - to jedyny sensowny powód jej istnienia w takim miejscu. Wodę musieli doprowadzać wodociągami, które niemal na pewno od dawna już nie funkcjonowały...

Coś poruszyło się w stercie gruzu za nim. Kontrolę przejęły instynkty. Przykucnął w obrocie, strzelił, przetoczył się za kolumnę ogrodzenia. Przyłgnął plecami do chłodnego kamienia i odruchowo złożył kolbę broni. Huk strzału przebrzmiał. Wychylił się błyskawicznie i znowu schował. Wszędzie panowała cisza. Nic się nie poruszało.

Cholera, co to było? - myślał - Waliło w górę rumowiska, jak rakietą ziemia-powietrze! Nasłuchiwał, starając się jednocześnie nie oddychać. Mijały kolejne minuty. Wiedział świetnie, że wystarczy odpowiednio długo tkwić w bezruchu. W końcu poskutkuje.

Wreszcie usłyszał jak coś bardzo ostrożnie przesuwa się po kamieniach. Nieskończenie powoli wyjął małe lusterko z kieszeni przy pasie i przesunął je nieznacznie za róg kolumny. Chwilę trwało, nim udało mu się coś zobaczyć. Po stercie pokruszonego betonu i cegieł to "coś" powoli przesuwało się w dół.

Istota w nagrzanym powietrzu późnego popołudnia zdawała się ciągle zmieniać kształty i kolory - rozmywać na tle otoczenia. Nie mogła być większa od dużego psa, choć zdecydowanie niższa. Pełzła po ziemi... w kierunku miejsca, gdzie ostatnio stał. Miał niemal pewność, że to coś węższy - metodycznie, łapczywie chwyta jego zapach i ostrożnie, niestrudzenie podąża jego tropem.

Przed oczyma stanął mu obraz jego samego, śpiącego przy ognisku gdzieś na pustyni i nieregularnego kształtu pełzającego przez ciemności. Wzdrygnął się odruchowo i zaraz zamarł w bezruchu. Stworzenie także znieruchomiało i zdawało się, że wpatruje się w miejsce, gdzie siedział ukryty za masywnym filarem bramy.

Nie wiedział co go ostrzegło. Zdażył rzucić się do przodu i odwracając się w locie wygarnąć krótką serię w mór tuż ponad miejscem, w którym niedawno kucał.

Tynk posypał się chmurą odłamków i pyłu. Istota podobna do tej, którą widział w lusterku wrzasnęła krótko i skoczyła w jego stronę. Leżał już na plecach. Pociągnął za spust i patrzył jak stworzenie przeszywane kolejnymi pociskami z karabinu skręca się w locie i zostaje odrzucone z powrotem do tyłu. Uderzyło o ogrodzenie prawie w tym samym momencie, gdy ostatnia łuska opuszczała komorę zamka.

John błyskawicznym, wytrenowanym ruchem zmienił magazynek i poderwał się na nogi. Nie wiedzieć czemu pomyślał, że cholernie przydałby mu się teraz detektor podczerwieni. Nie dostrzegł żadnego ruchu. Mimo to przecucie mówiło mu, że coś czai się w cieniu pobliskiego drzewa.

Sięgnął po granat błyskowo-hukowy i cisnął nim mocno. Ładunek poszybował w nagrzanym powietrzu i zatrzymał się wśród korzeni. Coś poruszyło się na pniu. John odwrócił głowę i zatkał uszy.

Eksplozja targnęła każdym nerwem jego ciała. Okręcił się błyskawicznie i wycelował w kształt miotający się na ziemi - krótka seria, przerwa, poruszenie, dłuższa seria.

Odgłos wystrzałów odbił się parokrotnie od pobliskich zabudowań i ucichł. Omiótł wzrokiem miejsce, gdzie leżał poprzedni stwór. Nic się nie poruszało. Żaden dźwięk nie maćił ciszy jaka zapadła.

Powoli ruszył przed siebie. Czuł się tak, jak lata temu w Korei. Strach ścisnął mu żołądek. Podszedł do ciała stworzenia skurczonego pod pniem starego dębu. To drzewo też nie uschło. Czyżby było tu jakieś podziemne źródło? - przemknęło mu przez myśl.

Istota leżała nieruchomo w trawie. Ciągle jeszcze zmieniała kształty i kolory, teraz jednak chaotycznie - raz miała barwę i fakturę gruzu, potem piasku i kamieni, kory drzewa, trawy. W końcu znieruchomiała. Teraz wyglądała jak duża, blada jaszczurka ze skórą po-

CHURCHTOWN



krytą dziwnymi naroślami. Z pyska sterczały duże, prawdopodobnie jadowite kły.

Zmutowane kameleony? - myślał nieprzytomnie. Widział już trochę dziwnych rzeczy przez ostatni rok, ale to? Chociaż jeśli się nad tym zastanowić, to nie wydaje się to takie... dziwne?

Jaszczurka przy bramie też była martwa. Ile może ich tu być? To chyba nie najlepsze tereny łowieckie. Co może żyć w tych ruinach, co dałoby się zjeść? Pewnie trochę szczurów, ale skoro nie ma tu już ludzi, to nie jest to za wiele.

Jego wzrok zatrzymał się na uchylonych drzwiach kościoła. Zza nich dobiegał niepokojący zapach. Kucnął, wyjmując z plecaka pojemnik z amunicją, zaczął ładować magazynki. Cokolwiek tam siedzi nie będzie miłe w obejściu - skonstatował i przeładował broń. Splunął i ruszył przed siebie.

Smród uderzył go falą, kiedy przekroczył próg świątyni. Źrenice natychmiast zwęziły się, przystosowując do panujących tu ciemności.

Wszędzie piętrzyły się sterty odpadków. Kości zwierząt i ludzi mieszały się z jakimiś szmatami i śmieciami. Wiedział już co stało się z ciałami mieszkańców miasteczka.

Przez powybijane okna do środka wpadały strugi zamierającego światła dnia. Tańczyły w nich drobinki kurzu. Pachniało butwiejącym drewnem, pyłem, gnijącym mięsem, odchodami i czymś jeszcze - czymś obcym i groźnym.

Powoli ruszył przez zaśmieconą posadzkę. Stąpał ostrożnie, wyczulony na każdy, nawet najdrobniejszy dźwięk. Na ołtarzu świątyni coś leżało - człowiek, a właściwie to, co z niego zostało.

John zahaczył o coś nogą. Był to pistolet maszynowy. Powgniatany i porysowany, jakby ktoś walił nim długo o twardą powierzchnię.

Twarz mężczyzny na ołtarzu wyglądała tak, jak gdyby spał - spokojne, wygładzone rysy, zamknięte oczy. Coś wygryzło mu większość klatki piersiowej. Urwana ręka leżała nieopodal, niemal całkowicie oczyszczona z mięśni i ścięgien.

Poczuł jak żołądek podchodzi mu do gardła. Widział już wiele, wiedział o tym dobrze, chociaż nie był w stanie przywołać wspomnień. Czegoś takiego jednak nigdy...

Zbryzgana krwią twarz Maryi spoglądała na niego smutno z portretu nad ołtarzem.

W zakrystii odór nasilił się jeszcze. Nie było wątpliwości, że gdzieś tu znajduje się jego źródło. Wszędzie pełno było starych i świeżych odchodów. W kątach butwiały jakieś szmaty, które całe wieki temu musiały być białe. Zaśniedziały, pogięty, złoty kielich walał się po podłodze u jego stóp.

Zapach zdawał się dolatywać zza małych, przymkniętych drzwi. Drewno, z którego je wykonano pokrywały liczne wizerunki aniołów i pędów winogron - teraz były porysowane i poobijane, jakby ktoś kopał w nie i kałeczył je czymś ostrym. Dłoń na rękojeści broni zaczęła mu się pocić. Pot spływał po skroniach i między łopatkami. To już nie był niepokój. John czuł zbierające gdzieś w głębi jego umysłu przerażenie.

Drzwi uchyliły się i do środka wdarł się snop białego światła z latarki taktycznej umieszczonej pod lufą karabinu Johna. Bardzo powoli i ostrożnie zaczął schodzić w dół - stopień, po stopniu. W wąskim strumieniu jasności schody zdawały się wryte w skałę. Były wilgotne i śliskie. Cienie tańczyły na płaskorzeźbach wrytych na ścianach. Przedstawiały winne grona i krzewy. Pod niskim sufitem ciągnął się przewód instalacji elektrycznej, gdzieś niedługo wisiało puste gniazdo żarówki.

Im głębiej schodził, tym dotkliwszy stawał się smród. Pocił się coraz bardziej, mimo, że temperatura spadała wraz z każdym krokiem.

Schody skończyły się i stanął wśród ciemności. Wiązka elektrycznego światła przebijała ją niemal z trudem. Omiótł metodycznie i szybko pomieszczenie, w którym się znalazł. Przed wojną musiał znajdować się tu skład wina. Butelki leżały na sosnowych pułkach uginających się pod ciężarem wilgoci. Kilka beczek ułożono na stercie w rogu za schodami.

Postąpił o krok i potracił coś nogą. To była ludzka czaszka. Całą podłogę pokrywały



CHURCHTOWN

szczątki ludzi i zwierząt. Zimny dreszcz przebiegł po jego plecach. Coś poruszyło się wśród odpadków i kości pod regałem z winem...

Jak zahipnotyzowany obserwował powoli rosnący przed nim półludzki kształt. Stwór nie miał skóry, całe jego ciało pokrywała lśniąca, wilgotna substancja, przez którą wyraźnie widział napięte jak postronki mięśnie i grube, czarne żyły.

Zza załomu ściany za regałami dobiegały stłumione dźwięki - tam też coś budziło się do życia.

W ostatniej chwili zdołał się opanować i dokładnie w tym momencie przygarbiona istota, stojąca do tej pory wśród odpadków, rzuciła się ku niemu. Huk wystrzałów eksplodował w ciszy podziemi kościoła. Snop światła z latarki zadrżał. Butelki z winem zaczęły eksplodować jedna za drugą.

Bestia jakimś cudem uniknęła kul, dopadła go i przewróciła na ziemię. Tuż nad jego twarzą zawisała inna - prawie ludzka, a jednak całkowicie obca. Z czarnej dziury ziejącej w miejscu, gdzie normalnie powinien znajdować się nos, wionął na niego odór gnijącego mięsa. Blade, przekrwione ślepią wpatrywały się w niego pożądliwie i z nienawiścią. Ostre jak u kota kły, powoli zaczęły przysuwać się do jego szyi.

Mięśnie drżały mu ze zmęczenia niczym w febrze. Kierując się wyćwiczonymi odruchami, resztką sił sięgnął do pasa po nóż. Pchnął - precyzyjnie i zabójczo. Żaden człowiek nie był w stanie uchylić się przed takim ciosem. Każdy człowiek byłby już martwy. Stwór jednak poderwał się w górę niemal bez wysiłku i ostrze ugodziło w pustkę.

John błyskawicznie chwycił z ziemi karabin i poderwał jego lufę w górę ruchem tak szybkim, że umykającym wzrokowi. Stwór skoczył znowu. I dopadłby go... gdyby John próbował mierzyć. Gdyby choć starał się ułożyć karabin do strzału, byłoby za późno.

Zamiast tego, wypalił z wyciągniętych w bok ramion. Szarpnęło i poczuł przeszywający ból. Skądś jednak wiedział, że nie stanie mu się krzywda - ścięgna nie puszcza, a stawy nie wyłamują się.

Dwie kule zrykoszetowały o sufit, trzecia trafiła stwora w klatkę piersiową. Czarna posoka strzeliła fontanną. Piwnicę wypełnił nieludzki wrzask. John przycisnął karabin do ramienia i nacisnął spust. Kolejne kule trafiały w cel powodując następne fontanny czarnej krwi. Martwa istota osunęła się na kości zaścielające podłogę.

Nie zauważył sylwetki, która wyrosła z mroku tuż obok niego. Usłyszał tylko wystrzał i zobaczył jak kolejny potwór pada martwy, sikając krwią z wielkiej rany w korpucie.

- Niech to wszyscy diabli - zaklął ksiądz wysiadając z samochodu przed kościołem. Słońce chowało się właśnie za widnokrzem. Nie pozostało wiele czasu.

Kupił dwieście litrów parszywej ropy. Kosztowało to fortunę, ale nie miał innego wyjścia. Nikt w Huston Town nie chciał nawet słyszeć o zagrożeniu czającym się w tym opuszczonym miasteczku. Mimo to, pozostawała jeszcze nadzieja.

Obliczył wszystko tak, żeby dotrzeć na miejsce o świcie. I gdyby woda w chłodnicy nie skończyła się na środku pustyni, udałoby się. Diabelna, mała dziurka i cała woda wyciekła na drogę. Dobrze, że Pan nad nim czuwał i zatrzymał samochód zanim szlag nie trafił silnika. Wieki trwało zanim naprawił usterkę. Nigdy mu nie szło z mechaniką.

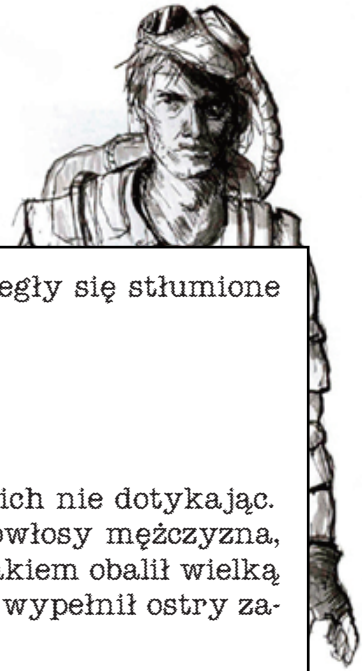
- I dobrze - mruknął. Wystarczy spojrzeć, co udało się osiągnąć tym, którym mechanika szła.

Kłapa bagażnika odskoczyła ukazując wypchane po brzegi starannie poukładanym sprzętem wewnątrz. Pojemniki, skrzynki, zwoje lin, puszki i amunicja, a także parę rzadkich i cennych egzemplarzy broni - wszystko starannie poukładane i gotowe do użycia. Młokosy mogły uganiać się po pustkowiach z jednym gnatem i wiaderkiem amunicji. Ojciec Ribeira miał już prawie czterdziestkę i za młokosa się nie uważał. Lubiał myśleć o sobie, jak o swego rodzaju profesjonalście.

Sprawdził bęben w swoim rewolwerze, wrzucił do kieszeni dwie ładownice i zabrał się do wyładowywania beczek z przyczepki.

- Za stary się na to robię - wymruczał.

CHURCHTOWN



Wtaczał właśnie ostatni pojemnik do zakrystii, kiedy spod ziemi rozległy się stłumione odgłosy strzałów.

- Co za idiota...? - mruknął i sięgnął po broń.

- Szybciej! - krzyknął ktoś od strony schodów.

John poderwał się i pędem ruszył do góry. Biegł po schodach niemal ich nie dotykając.

- Pomóż mi! Stań tu i strzelaj kiedy coś zobaczysz - krzyknął ciemnowłosy mężczyzna, gdy tylko John wybiegł przez małe drzwi prowadzące do piwnicy i kopniakiem obalił wielką beczkę stojącą u szczytu schodów. Ciecz kaskadą runęła w dół. Powietrze wypełnił ostry zapach benzyny.

- Teraz do wyjścia!

Ruszyli biegiem, nie oglądając się za siebie. Pędząc mijali inne przewrócone beczki i kanistry. Podłoga była śliska od ropy i oleju. Wypadli przed główne drzwi kościoła.

John obrócił się i posłał serię prosto w biegnącą za nimi poczwarę. Oberwała i kuląc się dziwnie padła na ziemię. Mężczyzna także się zatrzymał. Z torby wiszącej na ramieniu wydobył butelkę z przezroczystym płynem, a z kieszeni obszernego płaszcza wyszarpał kawałek szmaty. Wyrwał korek zębami i polał szmatę benzyną. Wetknął ją w szyjkę butelki i podpalił zapalniczką.

- W imię Boga Wszechmogącego, Pana nieba i ziemi - krzyknął. - Ogień, który wypala i oczyszcza, niech zstąpi z Duchem Twoim i oczyści tę ziemię z mocy Szatana!

Cięnięta butelka poszybowała w powietrzu i zniknęła za wrotami świątyni. Szkło pękło, ogień buchnął na progu Domu Pańskiego.

John przez chwilę gapił się w osłupieniu na swego wybawcę.

- Mogą próbować wydostać się tymi drzwiami - powiedział mężczyzna w płaszczu. Faktycznie nosił koloratkę...

- Zabarykadowałem tylne wejście starym wrakiem. Nie wyjdą tamtędy. Wspinać też się nie potrafią. Przez okna nie dadzą rady.

- Dużo ich tam może być? - wychrypiął John po chwili, jaką zabrało mu dojdzie do siebie.

- Kilkanaście, może dwadzieścia parę. Więcej by się tu nie wyżywiło. Jeśli obudziłeś wszystkie, możemy mieć kłopoty.

- Co to znaczy kłopoty?

- Jest już prawie noc. Jeśli wszystkie ruszą do drzwi nie powstrzymamy ich.

Powietrze wypełnił swąd spalenizny.

- Czekał - John przerzucił broń na plecy i ruszył biegiem w kierunku drzwi.

- Co robisz?!

- Oslaniaj mnie.

Wpadł na krótkie schody i mocnym kopniakiem zatrzęsnał uchylone skrzydło. Skoczył za statuę jakiegoś świętego i pchnął ją z całej siły. Trwało to niebezpiecznie długo, ale rzeźba zachwiała się nieznacznie. Zaparł się i wkładając w tę jedną czynność siłę wszystkich mięśni, pchnął znowu.

Posąg runął dokładnie w momencie, gdy wrota zaczęły się uchylać. Coś wrzasnęło nie-ludzko, kiedy padający monolit z marmuru zatrzęsnał je na powrót, miażdżąc wysuwającą się kończynę.

Ogień objął już całą budowlę. Strzelał jęzorami płomieni i słupami śmierdzącego dymu z okien, gdy ksiądz skończył modlitwę i chlusnął wodą z manierki w stronę budowli.

- Wyośmy się z tego miejsca. Moja misja jest skończona - powiedział słabym głosem, odwracając się w kierunku stojącego za ogrodzeniem starego Forda.

- Ojciec Juan Ribeira - powiedział naciskając pedał gazu.

- John Dufonse.



CHURCHTOWN

- To bestie zrodzone przez Bestię - powiedział Latynos wpatrując się w płomienie.

Przez ostatnie kilka godzin jechali międzystanową na północny wschód. Nie odzywali się prawie wcale. Ojciec Juan prowadził, John myślał o tym, co wydarzyło się tej nocy. Dwie strugi światła z reflektorów porzucanego samochodu przecinały mrok pustyni oświetlając spękana drogę.

Zatrzymali się na poboczu szosy. Teraz siedzieli przy małym ognisku i jedli zabite poprzedniego dnia jaszczurki. Nie smakowały najlepiej. Samochód stał niedaleko i pobrzękiwał miarowo stygnącą powoli rurą wydechu. Zbliżał się świt.

- Skąd możesz mieć pewność, że nie ukrywały się też gdzieś w mieście? - zapytał John.

- Wyczuwam sługi Złego na odległość. Poza tym, to jedyne dość ciemne i wilgotne miejsce, w którym mogły założyć leże. Boją się dnia. Światło słoneczne razi ich plugawe dusze i wysusza wrażliwą skórę.

- To skąd się tam wzięły?

- Zesłał je Zły.

- Nie o to mi chodzi. Przecież nie było ich tam od początku. Przyszły przez pustynię?

Mięśnie byczego karku kapłana zadrgały pod przepoconą koszulą, kiedy dorzucał do ognia spróchniały konar. Juan był wielkim mężczyzną. Przewyższał Johna o głowę, a bary miał jak tragarz. Siwiał już, ale jego ciało i umysł wciąż pozostawały sprawne jak u młodzieńca.

- Wędrują nocą. Kiedy przychodzi świt, wynajdują jakąś skałę i zagrzebują się w piasku. Kiedyś nocowałem pod taką skałą. Stąd to wiem.

- Ta ręka... - zaczął John.

- To pamiątka po tamtym - mężczyzna w czarnym płaszczu spojrzał na wysunięty kikut dłoni i skrzywił się na wspomnienie bólu. Brakowało mu trzech palców.

- Jesteś księdzem?

- Kapłanem Wszchemogącego. Tak.

- Bez urazy, ale wyglądasz bardziej na boksera niż duchownego. Pochodzisz z południa?

Zaległa krótka cisza. Na zachodnim horyzoncie wstawał nowy dzień.

- Z Hegemonii. Pan przemówił do mnie, kiedy błądziłem i odkrył przede mną drogę. Wędruję po tym świecie, a On wskazuje mi gdzie gnieźdzą się sługi Zła.

John oparł się wygodniej o plecak. Zdażył już przyzwyczać się do sposobu wysławiania się swojego towarzysza. Zapalił papierosa od wyciągniętej z żaru gałązki.

Z tego co słyszał o Hegemonii, wiedział, że nie trzeba było się tam specjalnie ruszać z miejsca, żeby znaleźć parę takich sług Zła... Najczęściej razem z braćmi, wujkami, kuzynami i dziadkiem.

- A ty, czym się zajmujesz? - głos księdza zmienił się nieznacznie. Najwidoczniej postanowił zrezygnować z maniery kapłana. W świetle ogniska na jego twarzy zaczęły się odbijać wszystkie lata, jakie przeżył w powojennym świecie. Zmarszczki na jego czole i w kącikach ust odcinały się wyraźnymi bruzdami.

- Podróżuję, szukam pewnych informacji.

- A - kapłan kiwnął głową, jakby to wszystko wyjaśniało. - Wszyscy czegoś szukają. Wiele rzeczy musiało się zmienić od wojny, ale to na pewno nie.

- Skąd jesteś? - zapytał po chwili, pociągając z butelki wyjętej z torby.

- To na sen - dodał.

- Z Luizjany. Tam się urodziłem.

- Nigdy nie byłem. Ładnie?

- Pięknie.

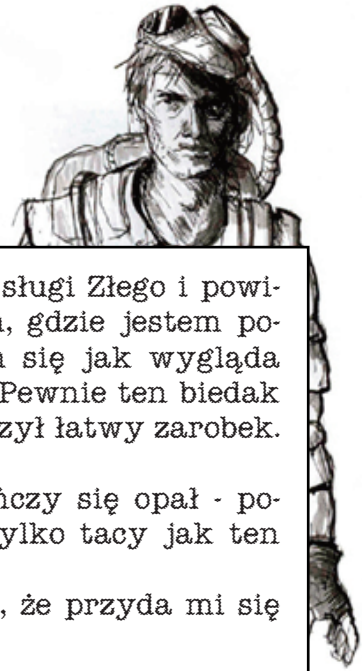
- Tak...

- Ten... człowiek w kościele - podjął po chwili John. - Wydaje mi się, że szukał czegoś w miasteczku. Znalazłem paczkę papierosów na schodach ratusza.

- Też mi się tak wydaje. Chyba widziałem go w Hutson Town, kiedy kupowałem benzynę.

- Zawsze wozisz ze sobą beczki z ropą?

CHURCHTOWN



- Wiem o co ci chodzi. Nie, Pan nie mówi mi, że w czwartek spotkam sługi Złego i powinienem kupić trochę ropy na tę okazję. Po prostu prowadzi mnie tam, gdzie jestem potrzebny. W tej nieszczęsnej mieścinie byłem wcześniej, zorientowałem się jak wygląda sytuacja i pojechałem do miasteczka na południe stąd, do Huston Town. Pewnie ten biedak słyszał mnie, kiedy próbowałem nakłonić miejscowych do pomocy i zwęszył łatwy zarobek. Dzisiaj takich nie brakuje.

Ogień szybko pochłaniał kolejne gałęzie ostrokrzewu. Niedługo skończy się opał - pomyślał John. W tym świecie nie ma co liczyć na cuda. Zdarzają się tylko tacy jak ten ksiądz... Zaśmiał się w duchu.

- Idź spać przyjacielu - Juan pociągnął kolejny łyk z butelki. - Czuję, że przyda mi się trochę więcej tego eliksiru spokoju.

- Dobranoc.

Ogień pochłaniał łapczywie kolejne gałęzie.

Chłopak oparł kosę o wóz i odetchnął głębiej wonnym, jesiennym powietrzem. Zapadał zmrok. Ostatnie, pojedyncze promienie słońca niczym krwawe lance przestrzeliwały przez gałęzie drzew pobliskiego lasu.

- Czas do domu, synu. Koniec pracy na dziś. Mama czeka z obiadem, a my tu zasiedzieliśmy się troszkę.

Ojciec uśmiechnął się do syna, a John odwzajemnił jego uśmiech.

- Wrócę trochę później, tato. Chcę zajrzeć jeszcze do Michaela.

- Za często tam chodzisz - westchnął ojciec. - Co ci po tych książkach? Mężczyzna powinien ciężko pracować na swoją rodzinę, a nie zajmować się mrzonkami i marzeniami. Wiesz, co o tym myślę.

- Tato...

- No dobrze - ojciec uśmiechnął się smutno. - W końcu żyjemy w wolnym kraju. Idź, jeśli chcesz, tylko nie spóźnij się na kolację.

- Nie spóźnię się, tato.

- No, to uciekaj.

- Dzięki, tato.

- Ale zapamiętaj moje słowa - krzyknął jeszcze mężczyzna za odbiegającym chłopcem. - Te naukowe brednie doprowadzą jeszcze do jakiegoś nieszczęścia!

- Zawsze tak jest... - wymruczał już do siebie.



ÓSMA MILA

ROZDZIAŁ TRZECI

Samochód zatrzymał się przed barem.

- Dokąd teraz, księżo? - odezwał się John spoglądając na człowieka, z którym kilka dni wcześniej walczył o życie.

- Mam parę spraw do załatwienia na zachodzie. A ty?

- Jak mówiłem, jadę do Chicago.

John otworzył drzwi.

- Mam nadzieję, że znajdziesz tam to, czego szukasz, synu. Karawany, o których ci mówiłem, rozbijają się za rzeką. W barze powinien być ktoś od nich. Porozmawiaj z nimi. Pewnie przydasz się do pomocy.

- Dziękuję, Juan.

- Nie ma sprawy. Bóg z tobą.

- Dzięki.

Drzwi trzasnęły. Samochód ruszył i już po chwili zniknął za zakrętem. John spoglądał za nim jeszcze przez długą chwilę. W końcu odwrócił się i wszedł do baru.

Wnętrze wypełniał tłum ludzi. Już na peryferiach miasta uderzyła go ilość pieszych przechadzających się chodnikami. Tutaj, po kilku miesiącach spędzonych z dala od ludzkich osiedli, aż kręciło mu się w głowie od tłoku i hałasu.

Przepchnął się do baru i usiadł na wolnym miejscu.

- Co ma być? - spytał niski mężczyzna zza lady.

- A co jest?

- Bimber, piwo i whisky z Teksasu.

- Więc piwo. I coś na ząb.

- Mamy wołowinę i placki.

- Może być.

- Ok. Co masz?

- Dam ci zapalniczkę.

- Zippo...? Mało. Ostatnia karawana z bydlęm spóźnia się. Ceny idą w górę.

- Dorzucę dwa plakaty i bezpiecznik trzysetkę.

- Dobra. Zaraz podam. Płatne z góry.

Piwo dostał od razu - było ciepłe i gorzkie. Na mięso i placki musiał poczekać. Barman miał dziś sporo pracy.

- Mówisz, że karawana się spóźnia? - spytał John wyciągając z plecaka rupiecie na wymianę.

- Mieli być tydzień temu. Jak chcesz znać moją opinię - nie przyjadą. Połknęła ich pułstynia.

Kończył właśnie stek i sięgał po do połowy opróżnioną butelkę, kiedy przed wejściem wszczęło się jakieś zamieszanie. Ludzie w barze spoglądali przez okna i wymieniali uwagi. Wyglądało na to, że karawana jednak dotarła.

Po chwili drzwi odskoczyły i do środka wkroczyło pięciu ludzi - czterech mężczyzn i kobieta. Wszyscy nosili mundury, choć ciężko byłoby nazwać je regulaminowymi. Właściwie ich stroje stanowiły rodzaj swobodnych wariacji na temat munduru. Uwagę Johna przykuł jeden szczegół - wszyscy mieli wyszyte na ramionach i nakryciach głów czarne ósemki.

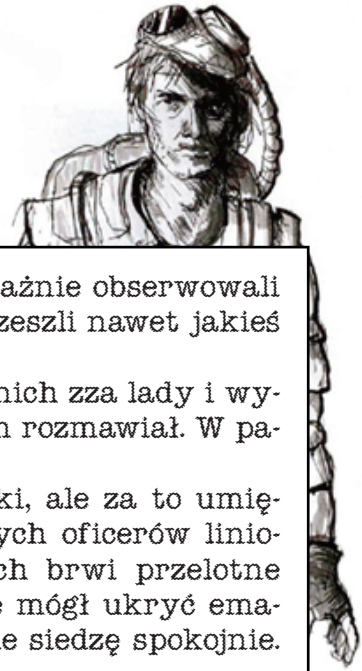
- Kto to? - odezwał się do siedzącego najbliżej mężczyzny. Gość wyglądał na zbieracza, ale to akurat można było powiedzieć o większości ludzi w barze.

- A ty co? - burknął zagadnięty znad szklanki z whisky. - Nie widzisz, co ich szef na łbie nosi? Ma ósemkę na czapce. To Kompania Ósmej Mili!

- Z jakiej dziury się urwałeś? - siedzący dalej mężczyzna, ubrany jak farmer, spojrzał na Johna z ukosa.

Grupka ubranych na wojskowo ludzi usiadła przy pospiesznie zwolnionym stole. Przyglądał się im ukradkiem.

ÓSMA MILA



Nie rozmawiali dużo. Od czasu do czasu wymieniali po parę słów i uważnie obserwowali otoczenie. Wyglądali na profesjonalistów - to musiał przyznać. Pewnie przeszli nawet jakieś szkolenie wojskowe. Dryg potrafił rozpoznać na miłę.

Zamówili i zjedli. Nie widział żeby płacili. Barman pofatygował się do nich zza lady i wyraźnie było widać, że boi się ich szefa. Garbił się i podrygiwał kiedy z nim rozmawiał. W panującym hałasie nie mógł dosłyszeć o czym mówią.

Dowódca karawany faktycznie mógł budzić szacunek. Nie był wysoki, ale za to umięśniony i poważny jak jasna cholera. Przypominał trochę przedwojennych oficerów liniowych - siedział prosto, niemal nieruchomo i rzucał spod krzaczastych brwi przelotne spojrzenie na resztę sali. Pozorny brak zainteresowania otoczeniem nie mógł ukryć emanującej od niego aury czujności. Jego postać zdawała się mówić: "Na razie siedzę spokojnie. I w twoim interesie jest, żeby tak pozostało".

Jego ludzie zachowywali się podobnie. W milczeniu przeżuwali wołowinę i nie odzywali się prawie wcale. Tylko drobna kobieta w wojskowej czapce i podkoszulku żartowała cicho w wielkim murzynie siedzącym obok niej. Czarny, mimo słusznej postury i bicepsów gladiatora, robił zdecydowanie przyjaźniejsze wrażenie od reszty kompanii. W pewnym momencie wybuchnął gromkim śmiechem i szturchnął dziewczynę przyjaźnie w bok.

Ona też się śmiała. Miała pełne, pięknie wykrojone usta i błyszczące wesołością wielkie, niebieskie oczy. Brązowe, kręcone włosy nosiła rozpuszczone - okalały jej drobną, opaloną twarz. John z przyjemnością zauważył, że reszta prezentuje się równie ciekawie. Kilku facetów w barze wyraźnie się na nią gapiło. Żaden jednak nie śmiał podejść. Wiązało się to z przebywaniem w niebezpiecznie bliskim sąsiedztwie szefa karawany i tylko chwilowo roześmianego, czarnego wielkoluda.

John dopił piwo i podniósł się z miejsca. Kiedy podchodził, dwóch gości siedzących po bokach dowódcy rzuciło mu ostrzegawcze spojrzenia.

- Mam sprawę - odezwał się stając naprzeciw niego.

Dziewczyna i wielkolud natychmiast ucichli i spojrzeli w jego stronę.

- Co to za sprawa i skąd pomysł, że mogę ci w niej pomóc? - dowódca mówił cicho i spokojnie, ale w jego głosie czaiła się ukryta groźba.

- Jadę do Chicago. Słyszałem, że wy też. Chcę się wynająć jako ochroniarz.

- A ja chcę wydupczyć Borgo - parsknął jeden z ludzi siedzących przy stole. Wyglądał na jakieś szesnaście lat. Ucichł natychmiast pod szybkim spojrzeniem przełożonego.

- Jak będę chciał poznać twoje pragnienia, Swidersky, to spytam. - warknął dowódca. - Do tego czasu bądź łaskaw trzymać gębę na kłódkę.

- Faktycznie, potrzebni nam ludzie - zwrócił się z powrotem do Johna. - Nie wiem tylko skąd pomysł, że się nadasz.

- Nadam się.

- Hmm - mruknął szef po chwili milczenia - to się okaże. Właśnie skończyliśmy jeść i myślałem, że przydałaby się jakaś rozrywka.

- Wyjdziemy na zewnątrz - dokończył i podniósł się z miejsca.

Żołnierze pospiesznie pakowali do ust ostatnie kęsy jedzenia i szli w jego ślady.

- Smith - warknął dowódca, kiedy stali już na podwórzu za budynkiem. - Zobacz co jest wart.

Ludzie z kompani odstąpili, tworząc mały półokrąg, z którego wysunął się wielki murzyn.

- Szlag - zaklął szeptem John ściągając plecak. Czarny miał rozmiary dorodnego byczka i wyglądał na silnego.

Obaj rozebrali się do pasa. Szkoda było drzeć dobre ubrania.

- Zaczynajcie - zakomenderował dowódca.

Czarnuch był wielki jak pieprzona góra. Miał jednak jedną, oczywistą wadę, którą John dostrzegł natychmiast. Poruszał się wolno i ciężko. Natarli na siebie.

Dufonse uniknął dwóch morderczych ciosów i spostrzegł kolejną cechę przeciwnika, którą mógł wykorzystać - wielkolud zanadto przywykł do wykorzystywania swojej siły i



ÓSMA MILA

masy. Oczekiwał od przeciwnika, że ten będzie cofał się i uciekał, pozwalając mu tym samym łatwo i precyzyjnie zadawać ciosy. Rozpoczął się taniec. Słońce stało w zenicie. Dwóch mężczyzn zlanych potem okrażało się w pyłe podwórza. Dookoła zbierał się tłumek gapiów.

Czarny co i rusz wyprowadzał potężne razy pięściami wielkimi, jak bochny chleba. John unikał i obserwował. Raz i drugi zaatakował i zaraz odskoczył.

Już po chwili z olbrzyma pot lał się strumieniami. Jest silny, ale brak mu kondycji - skonstatował John. Jeszcze chwilę...

Walczyli już od co najmniej pięciu minut, kiedy w końcu, poirytowany tym, że cel wciąż mu umyka, wielkolud postanowił zakończyć walkę jednym, miażdżącym ciosem. Pięść przebiła powietrze niczym czarna kometa. Na to właśnie czekał John. Odstąpił krok, okręcił się błyskawicznie i wkładając w ten ruch całą siłę, kopnął z półobrotu w odsłonięty bok przeciwnika.

Coś chrupnęło. Olbrzym stęknął i spróbował skontrolować. Wytrzymały bydlak - przemknęło Johnowi przez myśl. Zamachnął się i zadał kolejny cios z prawej, w sam splot. Wielkolud zgął się w pół. Wystarczyło uderzyć lewym podbródkowym.

Pięść Johna z impetem wyrznęła w szczękę czarnego. Murzyn zwałił się ciężko na ziemię.

- Jasna cholera... - zaklął ktoś z tyłu.

Szef karawany spoglądał zamyślony na swojego człowieka posapującego i plującego krwią w pyłe podwórka.

- Masz tę pracę - powiedział w końcu. - Nazywam się Joachim Talbot.

- John Dufonse - odpowiedział John pomagając podnieść się olbrzymowi.

- Mahamet Smith - czarny uściśnął jego dłoń i wyszczerzył się w krwawym uśmiechu.

Jechali z Samem ostatnią w kolumnie ciężarówką. Sam prowadził, John z karabinem na kolanach obserwował pustynię za szybą.

- I co o niej myślisz?

- Hm...? - wyartykułował John, wciąż wpatrując się w krajobraz. Miał jakieś niejasne przeczucie - jakby dawno zagubione wspomnienie próbowało przebić się z powrotem na powierzchnię świadomości.

- Daj spokój, stary. Widzę, że wpadała ci w oko.

- Każdego innego Moh sprząby za takie gapienie się na Suzi - gadał dalej Sam kręcąc wielkim kołem kierownicy. - Suzi to jego mała dziewczynka.

- No, nie patrz tak - parsknął, kiedy John odwrócił się nagle od okna. - On ją traktuje jak młodszą siostrę.

- Jak mówiłem - podjął po chwili milczenia kierowca - każdemu innemu obilby mordę. Ale ciebie jakoś dziwnie lubi. Pewnie przez to, że jesteś pierwszym gościem od bardzo dawna, któremu udało się spuścić mu lanie.

- Dziwny powód do sympatii.

- Ano. Mohi już taki jest. Zanim trafił do nas, był w Camino Reals. Parę lat temu jego gang napadł na naszą karawanę i dostali lanie - my mieliśmy karabiny, oni nie.

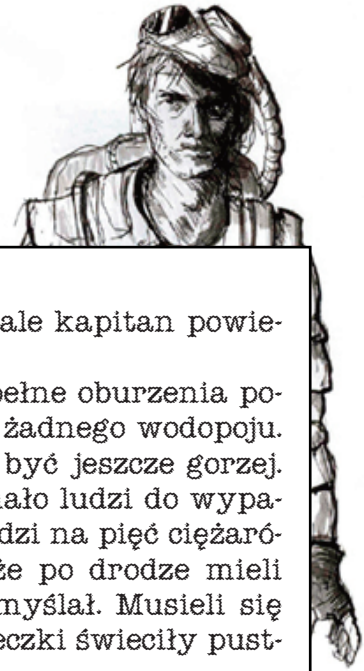
- Tak, czy inaczej - mówił dalej, miętosząc w ustach niedopałek - kapitan Talbot powalił go wtedy na glebę jednym z tych swoich sprytnych chwytów - jakieś dźwignie i takie tam. Reszta Camino albo zwała, albo zwiewać już nie mogła. Od tego czasu Moh słucha tylko kapitana i niech ktoś spróbuje na niego najeżdżać, kiedy Mohi jest w pobliżu...

- W sumie, to dlatego tu wylądowaliśmy - podjął po paru minutach milczącej jazdy szosa.

- Hm? - John znowu wpatrywał się w horyzont.

- No, przez Mohiego. Któryś szef karawany powiedział coś po pijaku na kapitana w jednym z barów Detroit i Moh to słyszał. Wszczęła się zadyma, facet wylądował u łapiducha, no i jesteśmy - wlecemy się pustynią, z bydlęm na pace, do najbardziej zaplutej dziury w całych Pieprzonych Stanach Zjednoczonych.

ÓSMA MILA



- Wysłali was tu wszystkich za zadymę w barze?

- No, nie do końca. - Sam zmarszczył brwi. - Właściwie to tylko Moha, ale kapitan powiedział, że jak Moh jedzie, to wszyscy jedziemy.

Koło podskoczyło na jakimś wyboju i z tyłu ciężarówki wszczęło się pełne oburzenia poruszenie. Huston Town opuścili trzy dni temu i od tego czasu nie minęli żadnego wodopoju. Na szczęście mieli spore zapasy wody i siana, bo dalej na północy miało być jeszcze gorzej. Właściwie to i tak nie byli przygotowani na takie upały. No i mieli za mało ludzi do wypasania bydła na postojach. John zauważył to już pierwszego dnia. Ośmiu ludzi na pięć ciężarówek to bardzo niewiele. Pytał o to innych, ale dowiedział się tylko, że po drodze mieli kłopoty. Jakie? - o tym już nikt nie chciał mówić, ale on i tak się domyślał. Musieli się czym zatruć, albo złapać jedną z wielu nowych, powojennych chorób. Apteczki świeciły pustkami. Zostały tylko środki opatrunkowe.

Efekt był taki, że w Huston Town musieli sprzedać prawie jedną czwartą rogacizny. Chyba nie byli na tym zanadto stratni, bo i tam zaczynało brakować żywności. Dwie zwolnione ciężarówki wypełniły sterty drobnego sprzętu i trzy wielkie agregaty prądotwórcze, których podobno brakowało w miejscu, do którego zmierzali.

- Mówiłeś o Chicago - przypomniał John. - To chyba nie taka znowu dziura?

- Ano dziura. Nie wiesz co tam się stało podczas wojny? - kierowca wyraźnie ożywił się na wzmiankę o mieście. Sam lubił gadać, a o Chicago mógł wyraźnie powiedzieć niejedno. - Dostali chyba z dziesięcioma atomówkami. To ruiny i zgliszcza. Pełno promieniowania i toksycznych świństw. No i kupa zagrzebanych gambli. Jest paru świrusów, którzy grzebią w tym szambie i wynajdują ciekawe rzeczy. Dlatego tam jedziemy. Zysk dwieście procent murowany, bo oni nie mają tam w ogóle niczego zdatnego do żarcia, a złomu w brud - sprzedają za bezcen.

John właśnie zaczynał się zastanawiać, co właściwie można wyciągnąć z miasta, które oberwało dziesięcioma bombami atomowymi, kiedy ciężarówki przed nimi zaczęły hamować. Przeładował broń i wyjrzał przez okno.

- Co tam?! - krzyknął do wysiadającego z szoferki samochodu przed nimi Micky'ego.

- Suzan coś znalazła na drodze! Gadają o tym z kapitanem!

John wychylił się jeszcze bardziej i faktycznie zobaczył Suzan i Talbota rozmawiających na poboczu, tuż obok zaparkowanego motoru dziewczyny.

- No to przerwa - mruknął wsuwając się znowu do szoferki. - Czyli w Chicago nie ma już ludzi? Tylko ci zbieracze?

- No, nie - zachnął się Sam spod kierownicy. Upuścił paczkę teksańskich papierosów, kiedy hamowali i szukał jej teraz na podłodze.

- Aż tak źle tam nie jest. Zostało parę enklaw. Wewnątrz żyją ludzie. Palą - sapnął tryumfalnie podnosząc zgubę z podłogi. - Rozumiesz, ogniska dookoła tych enklaw. Podobno żeby odpędzić złe duchy i takie tam.

- ...

- Serio palą! - Sam odpalił papierosa. - No i mają tam normalne domy i knajpy nawet - kuzyn mi opowiadał. Był tam w zeszłym roku z karawaną. Buchnął z transportu skrzynkę wody, no i go wysłali.

- Ale co to za życie w tych ich enklawach? Dupy z domu nie można ruszyć, bo zaraz jakiś mutek, albo maszyna Molocha ci ją podziurawi. Mają tam takich specjalnych gości - Stalkerów, czy Skoperów - oni wychodzą na zewnątrz i zbierają graty.

- Myślałem, że od tego są Łowcy.

- No, niby tak, ale tam to nie przelewki. Mutek niby żadna rewelacja, tyle, że u nich, to dużo gorzej niż gdzie indziej. Mają jakąś Strefę, czy coś, i tam to nikt nie chodzi, a podobno gambli tam jak nasrał i wszystkie cenne, jak dupa Colinsa. Tym co wrócili stawiają pomniki, ale ponoć bardzo ich mało... Znaczą, tych co wrócili.

Sam zaciągnął się papierosem i wypuścił dym z ust.

- A, no i jest tam Aria...

- Aria?



ÓSMA MILA

- Ta... Nieprzyjemna sprawa. Szkoda gadać. O, idzie Micky.
- Chłopaki! - krzyknął nadchodzący i pomachał im ręką.
- Suzi widziała ze wzgórza barykadę na drodze i dym z ogniska. Szef mówi, że mogą być problemy. To pewnie mutki.
- Jak mutki, to nie będzie problemu - podsumował Sam.
- Ta. Jak cholera nie będzie. Ale to mogą być Dark Visions. Zapuszczają się czasem na te tereny. Przygotujcie się na strzelaninę. Ruszamy.
- Cholera - mruknął Sam, gdy Micky zniknął za ciężarówką przed nimi. - Jak Dark Visions, to źle. Oni wożą kupę gnatów. Będzie ostro.
- Motor Suzi zahamował przy ich samochodzie.
- Wskakuj do środka! Będzie zadyma - krzyknął do niej John.
- A motor?! - odkrzyknęła.
- Na pakę z nim - huknął kierowca.
- Między krowy? Chyba żartujesz! Jadę sama.
- Szalona dziewczucha - skwitował Sam, kiedy ruszyła do przodu wzbijając chmurę pyłu.

- Przyspieszamy, panowie - dobiegło z CB radia.

Sam wrzucił trójkę i nacisnął pedał gazu do oporu. Samochód piął się pod wzniesienie skacząc po wybojach - w sfoferce trzęsło niemilosiernie. John kurczowo trzymał się metalowych uchwyty kokpitu.

- Będzie Sajgon... Będzie Sajgon... - mamrotał do siebie w kółko kierowca, memlając w ustach niedopałek.

Pierwsza ciężarówka dotarła na szczyt wzgórza, pod które piełi się przez ostatnie kilka minut i niemal w tym samym momencie rozbrzmiał głos z radia:

- Tu Moris, widzimy barykadę na drodze. Wygląda na prowizorkę. Brak kontaktu wzrokowego z wrogiem.

- Kapitan Talbot. Taranujemy.

Karawana przyspieszyła jeszcze bardziej. Silnik ciężarówki, którą jechał John z Samem, zaczął wyć na wysokich obrotach.

Po chwili sami przekroczyli wzniesienie, Sam wrzucił piątkę i popędzili w dół za resztą nabierających prędkości pojazdów.

- Broń w gotowości - zatrzeszczało radio.

Pierwsza ciężarówka zbliżała się właśnie do barykady z gruzu i badyli, kiedy w powietrzu przemknęła rakietka.

Eksplozja targnęła samochodem na czele. Pocisk chybił celu, ale fala uderzeniowa przechyliła pojazd na bok. Przez długą chwilę balansował niebezpiecznie na dwóch kołach. Kierowcy udało się cudem uniknąć wywrotki i ciężarówka, opadając na wszystkie cztery opony, z impetem wyrznięła w barykadę.

Sam wcisnął pedał, aby uniknąć zderzenia z gwałtownie hamującą resztą karawany.

Pierwszy wóz zwolnił znacznie, ale przebił się i pomknął dalej. Znowu przyspieszyli. Zza pobliskich skał padły pierwsze strzały z broni maszynowej.

John poderwał karabin, przymierzył i strzelił. Trzęsło jak diabli, ale miał wrażenie, że za trzecim razem trafił w korpus wychylający się zza ochrony. Inni też strzelali. Kolejna rakietka uderzyła w barykadę, rozrzucając wkoło grad odłamków gruzu i drewna.

- Jasna cholera! - sapnął Sam. - Tam! To Suzi...!

John oderwał policzek od kolby i spojrzał - motocykl Suzan leżał przewrócony na bok tuż za barykadą. Dziewczyna spoczywała nieruchomo kilka metrów za nim.

Musiała dostać odłamkiem i przelecieć przez kierownicę - przemknęło mu przez myśl.

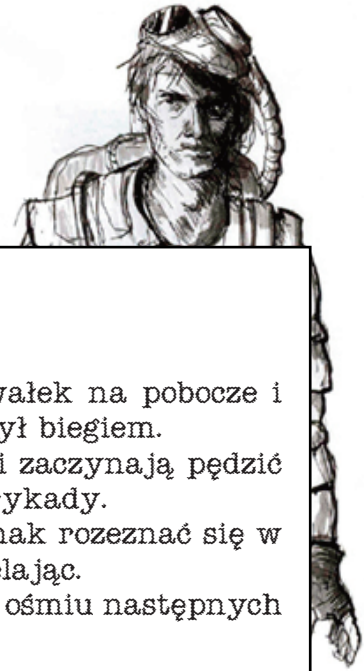
- Zwolnij! - krzyknął.

- Powaliło cię?! Już po niej!

- Zwolnij, mówię!

Zapisać klocki hamulcowe. John otworzył drzwi.

ÓSMA MILA



- Jedź dalej! Dogonię cię!

Ścisnął w ręce karabin i skoczył.

- Powaliło go! Kompletnie go powaliło!

John przeleciał parę metrów i uderzył o ziemię. Przetoczył się kawałek na pobocze i poderwał. Rozcięta o jakiś kamień noga krwawiła. Zignorował ból i ruszył biegiem.

Kątem oka dostrzegł, jak od skał odrywają się pojedyncze sylwetki i zaczynają pędzić w ich stronę. Dopadł do dziewczyny. Poderwał ją z ziemi. Skoczył do barykady.

Kiedy się wychylił, tuż koło jego głowy przemknęła kula. Zdążył jednak rozeznac się w sytuacji. Jedenastu ludzi biegło w ich stronę wymachując bronią i strzelając.

- Idioci - mruknął do siebie ściągając pierwszego. Spośród skał wypadło ośmiu następnych - ci jechali na motorach.

Dziewczyna wydała z siebie protestujące sapnięcie i otworzyła oczy.

- Co się... - wymamrotała nieprzytomnie.

- Dostałaś. Siedzimy za barykadą. Idą po nas.

- Kto...?

- A skąd mam wiedzieć? Jakies obdartusy.

Kolejne kule zaświszczały w powietrzu nad nimi. Suzan wychyliła się ostrożnie i zaraz znowu schowała. John ściągnął kolejnego.

- A - mruknęła do siebie wyraźnie przytomniejąc. - Hell Angles. Tylko co tak daleko na północ...

- Może się zgubili - syknął John i sprzątnął następnego. Gangerzy chyba wreszcie połapali się w sytuacji i zaczęli kluczyć między głazami i krzakami. Kolejny padł z kulą w piersi.

Suzi wyjrzała i strzeliła. Kula wzbija fontannę piachu tuż koło nogi biegnącego bandyty.

- Dobrze strzelasz - mruknęła do Johna.

- Może i dobrze, ale nie rozwalę ich zanim tamci na motorach nas nie okrążą.

Dziewczyna znowu wyjrzała i zaklęła.

- Mamy przejebane - oceniła rzeczowo sytuację.

Nagle jadący na motorze gangster wrzasnął i spadł w piach pustyni. John zdążył zauważyć wielką dziurę ziejącą w jego klatce piersiowej.

- Półcałówka...? - szepnął zaskoczony i obejrzał się za siebie.

W ich kierunku mknęło po pustyni kilkanaście pojazdów - jeepy, dwa transportery opancerzone i, John nie wierzył własnym oczom, czołg - przedwojenny Abrams.

Gangerzy też je dostrzegli i zaczęli zawracać w kierunku skał - bardzo szybko zawracać.

Pojazdy przemknęły koło nich, wzbijając w powietrze chmury pyłu. Johnowi mignął przed oczami znak widniejący na boku jednego z jeepów.

- Co do cholery...? - szepnął. Na drzwiach wymalowano krzyż Wermachtu...

- Nie mają szans - wychrypiła Suzi. - Jeepy dorwą ich na pustyni jak nic. Motorami nie uciekną.

John gapił się w osłupieniu na oddalający się szybko pojazd.

- Śpisz?! - Suzan szturchnęła go w bok. - Wujemy!

Dobiegli do motoru. John poderwał maszynę i kopniakiem odpalił silnik. Dziewczyna nie miała czasu protestować - wskoczyła na siedzenie za nim i ruszyli z kopyta. Po chwili kilka kul przemknęło koło nich. John obejrzał się przez ramię.

- Dlaczego do nas strzelają?! - krzyknął.

- To Aria! Myślą, że jesteśmy gangsterami! - Suzi pospiesznie zaczęła ściągać kurtkę.

- Słabo myślą - mruknął. - Co robisz?!

- Zamknij się i prowadź.

Wreszcie udało jej się oswobodzić drugą rękę. Skórzana kurtka poszybowała do tyłu ukazując szary podkoszulek i wielką ósemkę na piersi dziewczyny. Odwróciła się na siedzisku i wskazała palcem na znak. Jeszcze jedna kula uderzyła w asfalt tuż przed nimi i ogień ustał. Po chwili dwa jadące za nimi jeepy zwolniły i odpadły w kierunku uciekających gangsterów.



ÓSMA MILA

- Dobrze, że chociaż handlarzy nie ruszają - mruknęła do siebie Suzi, odwracając się z powrotem. Za ich plecami rozpoczęła się bezlitosna łapanka.

- Niech mnie Borgo wydupczy! - wrzasnął Ricky, kiedy zatrzymali się kilka mil dalej na poboczu. - Myślałem, że już po was.

Ciężarówki stały jedna za drugą tuż przy drodze. Silniki mruczały cicho, w każdej chwili gotowe do kolejnego skoku.

- Dobra robota - odezwał się kapitan Talbot wyskakując z paki ciężarówki.

- Rozwalili nam dwie prądnice - zwrócił się do Ricky'ego. - Zobacz, czy da się z tym coś zrobić.

- Tajest!

- Dzięki, że na nas poczekaliście - John skinął kapitanowi głową.

- To nie był mój pomysł, tylko Swidersky'ego - kapitan ruchem głowy wskazał ciężarówkę, w której przed chwilą zniknął Ricky.

- Maleńka! - krzyknął swoim basem Moh wychodząc zza auta. Złapał dziewczynę i zamknął w niedźwiedzim uścisku.

- Kiedyś się doigrasz z tym motorem - powiedział poważnie.

- Kiedyś na pewno - odparła Suzi, gdy wreszcie wypuścił ją z ramion i uśmiechnęła się łobuzersko.

- A ty... - potężna postać Moha odwróciła się powoli w kierunku Johna. - Jesteś równy gość - dokończył czarny i uściśnął mocno jego dłoń. - Dawnom nie widział, jak jeden rzuca się na dwudziestu. Ostatnio w dzielnicy Camino. Jesteś pewien, że nie miałeś w rodzinie czarnych?

- Chyba nie - John wyszczerzył się odwzajemniając uścisk dłoni.

- Moh nie wierzy, że biali potrafią się bić! - krzyknął Ricky gramoląc się z paki ciężarówki.

- Przestrzelony bak prądnicy i rozwalony tłok w drugiej maszynie, panie kapitanie! - raportował - Bak się zalutuje, ale tłok trzeba wymienić.

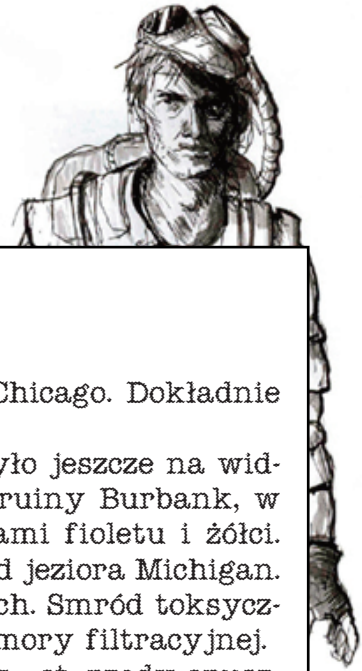
- Człowieku - odezwał się Sam, kiedy John wsiadał do kokpitu ciężarówki. - Nie wierzyłem, że jeszcze cię zobaczę. Samemu na cały gang Angelsów. Masz zdrowo nawalone pod czachą.

Kierowca zapalił papierosa i wyszczerzył się w uśmiechu. John znał Sama już dość długo, by ostatecznie słowa odebrać jako wielki komplement.

- Musimy kiedyś razem zająć - powiedział kierowca, kiedy ruszali w dalszą drogę.

Koło nich przemknął motor Suzi. Dziewczyna odwróciła się i posłała Johnowi zawadiacki uśmiech.

Sam zerknął na Johna kątem oka i uśmiechnął się półgębkiem.



ROZDZIAŁ CZWARTY

Zamordowane miasto - to właśnie pomyślał, kiedy ujrzał zgliszcza Chicago. Dokładnie taki sam tytuł nosił jeden z artykułów w gazecie z Nowego Jorku.

Cuchnący opar dotarł do nich już przed godziną, gdy miasto majaczyło jeszcze na widnokręgu, w postaci wąskiej, szarej linii. Teraz, kiedy wjechali między ruiny Burbank, w świetle wschodzącego słońca powietrze mieniło się matowymi odcieniami fioletu i żółci. Kłęby toksycznych mgieł snuły się powoli, pchane leniwym wiatrem znad jeziora Michigan. Pół godziny temu przez CB padł rozkaz założenia masek przeciwgazowych. Smród toksycznych wyziewów zastąpił przykry zapach nasączonej moczem gazy z komory filtracyjnej.

Przedmieścia nie wyglądały gorzej niż inne, które widzieli do tej pory - ot, rzędy opuszczonych i rozsypujących się domków jednorodzinnych, stare place zabaw, zamknięte na głucho warsztaty i sklepy. Wszystko zdawało się martwe i od czasu wojny nietknięte ludzką stopą. Obrazek jakich wiele w dzisiejszych czasach.

Jednak dopiero kiedy ciężarówka zagłębiła się w miasto, John zrozumiał znaczenie nagłówka artykułu z NY. Dzielnicę, przez którą jechali zrównano z ziemią, dosłownie - morze gruzów i sterzących drutów zbrojeniowych było wszystkim co zostało po przedwojennych konstrukcjach. Tam, gdzie fala uderzeniowa osłabła, pozostały jeszcze na wpół zawalone kamienice i wysokościowce, tutaj jednak nie dało się odróżnić domu od chodnika - wszystko pokrywały nadtopione sterty cegieł, betonu i metalu. Nic nie mogło tu żyć. To miejsce było niczym świątynia samej śmierci. Jakby anioł zagłady zstąpił z wysokości i ognistym technieniem wypalił dzieło człowieka i jego samego.

Przez środek tego pustkowia biegła cienka linia asfaltowej drogi. Ktoś oczyścił ją z gruzu i zasypał dziury żwirem. Na poboczach, w wielu miejscach, spoczywały ciężkie cielska ciężarówek i samochodów osobowych noszących znamiona powojennych przeróbek. Kto i dlaczego porzucił ich tu tak wiele?

Siedzący obok Johna Sam bez ustanku omiatał okolice nerwowym wzrokiem. Dufonse też to czuł. Opuszczone przez człowieka ruiny nie były puste. Szósty zmysł mówił mu, że coś przygląda im się spośród mrocznych zakamarków rozpadlin i żwirowych osypisk. Miasto zostało zamordowane, a w jego ciele, niczym w ścierwie gigantycznego potwora, załęgła się obca choroba...

Na końcu szosy, daleko na horyzoncie, wśród mgieł i oparów podświetlanych blaskiem wschodzącego słońca, migotała ognista ściana enklawy. Zbliżali się do celu.

Kiedy przekroczyli zaporę ognia, Sam wyraźnie się odprężył i schował do schowka pod kierownicą, wysłużone P99, które trzymał do tej pory na kolanach.

- No. Udało się - powiedział prostując się i uśmiechając do Johna. - Mieliliśmy szczęście jak diabli, żeśmy sobie tak spokojnie przejechali. Widziałeś te wraki? - oni nie mieli tyle szczęścia.

- Mutanci?

- Mutanci, maszyny, cholera wie co jeszcze. Takie opowieści słyszałem... Chyba dojeżdżamy.

Kolumna ciężarówek wjechała na duży plac i zatrzymała się w jednym z jego rogów. Na asfalcie ktoś wymalował białą farbą dużą ósemkę.

- Schowaj giwerę - mruknął Sam. - Na placu targowym broń wolno nosić tylko strażnikom. I muszą mieć na to papierek.

Silniki zgasły. W miejsce ich rytmicznego pomruku natychmiast wdarły się odgłosy ludzkiego osiedla. Jednak nie przypominało ono żadnego z tych, jakie John widział do tej pory.

Mieszkańcy zdawali się dobrze odżywieni. Ubrania mieli zgoła inne niż ludzie, których spotykał do tej pory. Nie nosiły one śladów wieloletniego używania, nie były pocerowane, poplamione, łatane - przynajmniej większość. Nikt tu się jednak nie śmiał, nikt nie żartował.



CHICAGO

wał. Nigdzie nie widać było małych dzieci. Ludzie pospiesznie załatwiali swoje sprawy, rozmawiali krótko i po cichu. Jakby nieustanna groźba wisiała nad nimi nawet w tej ostoi cywilizacji.

Przez przerwy między budynkami wciąż dostrzec można było płonące na granicy betonowych pustkowi ognie.

- Wysiadać! - krzyknął Mick.

- Moh i John - odezwał się kapitan Talbot, kiedy wszyscy zebrali się przy pierwszym pojeździe. - Bierzcie wóz i zawieźcie prądnice do warsztatu. Niech polutują bak i wymieniają tłok. Swidersky, jedziesz z nimi. Dopilnuj żeby z nas nie zdarli i nie spieprzyli roboty.

- Tajest! - wymamrotał Ricky rozglądając się oszołomiony po okolicy. Chicago zdawało się gasić nawet jego.

- Suzan i Mick, idźcie do przedstawicielstwa po papiery i zezwolenia dla trzech strażników, a potem...

- Więc pracujemy razem - powiedział do Johna z zawadiackim uśmiechem Ricky i wskoczył na pakę ciężarówki wiozącej prądnice. Chyba wreszcie otrząsnął się ze zdumienia, a jego młody mózg najwidoczniej przeszedł do porządku dziennego nad zjawiskiem, którego nie był w stanie pojąć.

Maszyny były diabło ciężkie i nawet z pomocą bloczków i łańcuchów trzeba było Johna i Moha żeby ruszyć je z miejsca. John stęknął i po raz kolejny przeklął konstruktora prądnic, który zbudował je tak, że nie dało się usunąć prawie żadnej części bez użycia palnika, albo gumówki.

Kiedy skończyli rozładunek było już dobrze po południu. Stali z Mohem i pomocnikiem miejscowego mechanika oparci o ciężarówkę, cali uwalani w smarze silnikowym, i palili. Właściwie to John i pomocnik imieniem Tom palili. Moh odmówił, mamrocząc swoim gardłowym basem coś o krabach i mamie. Ricky ciągle targował się z właścicielem warsztatu i kręcił nosem na kolejno pokazywane mu tłoki.

Warsztat był całkiem spory, jak na powojenne standardy. Mieścił się w dużym budynku z pustaków i blachy falistej z wielkim, wyblakłym szyldem reklamującym firmę na dachu. Przed budynkiem wybetonowano kilka różnej wielkości kanałów serwisowych. Na parkingu stało kilkanaście samochodów i ciężarówek. Przy dwóch grzebali mechanicy.

Wnętrze budynku stanowiła wielka hala o powierzchni jakichś pięciuset metrów kwadratowych, z kolejnymi kanałami i metalowymi szafkami uginającymi się pod ciężarem części i narzędzi. Spawarki, szlifierki, tokarki, sprężarki, prasa hydrauliczna, maszyny wulkanizacyjne, pistolety na farbę, podnośniki, wyciągi i skrzynki z narzędziami, każde na swoim miejscu i pod ręką - drugi taki warsztat znajdował się pewnie tylko w Detroit. Mały kantorek na tyłach sali pełnił rolę biura. John zastanawiał się skąd warsztat bierze prąd, bo w najbliższej okolicy nie widać było żadnego agregatu.

- Pierwszy raz w Chicago? - zagadnął Tom spoglądając na niego ukosem.

- Tak - Dufonse wypuścił z płuc strumień dymu.

- A, to kupa atrakcji przed wami - skrzywił się pomocnik mechanika.

- Podobno pierwszej wizyty u nas się nie zapomina. Dla niektórych to też ostatnia wizyta... - Tom zawiesił na chwilę głos.

- Wszedłbyś ty kiedy na teren Camino... - burknął prawie niedostępszalnie Moh.

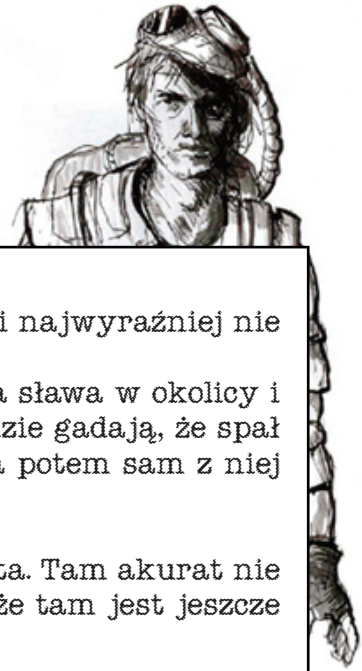
- ... W każdym razie nie radzę wam wychodzić po zmroku poza pierścień. Łatwo nie wrócić.

Szef warsztatu trzasnął rozwścieczony czymś ciężkim o biurko ustawione w głębi garażu i zaczął wygrażać Rickowi palcem.

- Spokojnie, on tak zawsze - mruknął Tom. - Widać łepkę umie się targować.

- Jak chcecie do dobrego baru, to polecam Chicago Blues w enklawie University - podjął po chwili. - Mają tam nie chrzczonego alkohol i można spotkać same sławy.

- O wilku mowa! - ożywił się na widok mężczyzny wychodzącego z kamienicy naprze-



ciwko. - To sam Profesor.

- Profesor? - zaciekawili się jednocześnie John i Moh, chociaż ten drugi najwyraźniej nie wiedział co ten termin oznacza.

- Profesor - skinął poważnie głową, pomocnik mechanika. - Największa sława w okolicy i twardy skubaniec. Gość jest Stalkerem. Już pięć razy wrócił z Zony. Ludzie gadają, że spał tam w hibernatorze, rozumiecie jeszcze sprzed wojny! No, i obudził się, a potem sam z niej wyszedł. Bez żadnego sprzętu!

- Moment - przerwał mu John. - Co to jest Zona?

- To nie wiecie...? Pewnie, że nie - nietutejsi. Zona leży w centrum miasta. Tam akurat nie spadły atomówki. Wszystko nietknięte, budynki jak przed wojną. Tylko, że tam jest jeszcze gorzej niż gdzie indziej. Mało jest takich, co poszli tam i wrócili.

- A Stalker to właśnie taki ktoś? - domyślił się John.

- No, prawie. To taki, co ma szansę tam przeżyć. To tacy nasi miejscowi Łowcy...

- Tylko po cholere tam łązić? - burknął Moh wydhubując nożem brud spod paznokcia.

- Jak to po co? - Tom zakrztusił się papierosowym dymem. - Tam są tony gambli. Leżą na ulicach! Ci co stamtąd wrócili...

- Zwijamy się panowie! - krzyknął Ricky od drzwi hali. - Wszystko załatwione.

Kierownik warsztatu wybiegł zaraz za nim krzycząc:

- A żeby ci tak ten tłok w dupę wlaź, parszywcze! Żeby ci promieniowanie jaja wyżarło, krwio pijco mały! Tfu, tfu... - popluł na ziemię, gdzie przed chwilą stał chłopak.

- Z Bogiem - odkrzyknął mu Ricky wskakując do szoferki za Johnem.

- To Żydek - zagadnął tytułem wyjaśnienia, kiedy ruszyli z powrotem na plac.

- Ale Polaka nie przegada, he? - mruknął Moh manewrując na wąskiej uliczce.

W odpowiedzi chłopak zaprezentował tylko komplet śnieżnobiałych zębów i wystawił głowę przez okno.

Słońce skryło się za horyzontem kilka godzin temu. Ciemności jednak nie wkraśli się do ludzkich siedzib - nieustannie podtrzymywane ognie rozpraszały mrok i topiły domy oraz ulice w pomarańczowym blasku.

Od zmierzchu, czyli od czasu kiedy minęła pora handlu, siedzieli z Mohem i Samem w knajpie Chicago Blues.

Lokal znajdował się w piwnicy jednej z kamienic przy gmachu głównym kampusu Uniwersytetu Chicago. Wystrój do złudzenia przypominał Johnowi przedwojenne puby - ciemna, drewniana boazeria, wysoki, murowany bar z lśniącym, drewnianym blatem i wypolerowane na wysoki połysk rurki dystrybutorów piwa stanowiły tło dla armii wypucowanych szklanek i kieliszków. Na ścianach wisiały zdjęcia i plakaty dwudziestowiecznych artystów dżezowych i bluesowych. Punktowe reflektory rozsiewały kolorowe snopy światła. Wygodne, obite wytartą, czarną skórą siedziska przywodziły mu na myśl niejasne wspomnienia. Gdzieś na granicy świadomości majaczyły obrazy i dźwięki.

- Byłem tu już kiedyś... - powiedział cicho do siebie.

- W Chicago? - zdziwił się siedzący obok niego Sam, który musiał dosłyszeć nieświadomie wyszeptane słowa.

- Nie wyglądasz na zorientowanego - w jego głosie brzmiało wyraźnie niedowierzenie.

- To było dawno temu.

- Pewnie sporo się tu od tego czasu zmieniło - Sam pociągnął łyk zimnego piwa.

Dystrybutory, rzecz jasna, od dawna nie działały. Nikt już nie wtłaczał piwa do metalowych beczek, więc po trzech dekadach nie było po prostu co pod nie podłączyć. Mimo to, chłodnia na tyłach wciąż funkcjonowała, a sprowadzone z Teksasu piwo smakowało lepiej, niż cokolwiek co Sam i Moh kiedykolwiek pili.

John wyciągnął z paczki kupionej za swoją wypłatę papierosa i zapalił. Smużka dymu snuła się w gęstym powietrzu, podświetlana czerwonym światłem z reflektora, by w końcu rozmyć się wśród innych, podobnych.



CHICAGO

Kwestia tego, czy John zostanie z karawaną, wciąż pozostawała nie rozstrzygnięta. Wszystko zależało od tego, ile czasu zajmie mu odnalezienie bazy, co tam znajdzie i czy w ogóle uda mu się do niej dotrzeć.

Na razie zdołał dowiedzieć się, że miejsce, którego szuka znajduje się gdzieś w Zonie - owianym tajemnicą, zakazanym obszarze w centrum miasta.

Nikt właściwie nie był w stanie powiedzieć mu, dlaczego Zona jest tak groźna. Owszem, słyszał sporo różnych dziwnych i często sprzecznych historii, żadna jednak nie wyjaśniała czym Zona jest naprawdę. Wszyscy wiedzieli gdzie jej szukać. Wszyscy znali krążące o niej legendy. Jednak nikt z tych, z którymi John do tej pory rozmawiał tam nie był... Nie licząc dwóch byłych Stalkerów, którzy z kolei nie chcieli o tym mówić.

Chicago Blues - miejsce wyjęte z innej epoki, a przecież tak doskonale wpisujące się w krajobraz powojennego miasta. Mekka Łowców i nielicznych Stalkerów. Bar za drogi na kieszeń zwykłego śmiertelnika, w którym serwowano prawdziwe, zimne piwo.

Na specjalnej, dobrze oświetlonej tablicy wisiały zdjęcia tych, którzy do Zony poszli, i którym udało się wrócić. Nie było ich wielu.

Drzwi na szczycie schodów skrzypnęły i otworzyły się, wpuszczając podmuch świeżego powietrza.

John drgnął w duchu. Stopień po stopniu, ubrany w wytarty, skórzany płaszcz i wojskowe buty, schodził Profesor.

Nareszcie nadarzyła się okazja. John, po zaledwie kilku rozmowach zorientował się, że bez znajomego teren przewodnika przekraczanie linii ognisk chroniących enklawy było samobójstwem. Jeśli chciał dotrzeć do samej Zony, wejść tam i wrócić, potrzebował najlepszego człowieka, jakiego tylko mógł znaleźć.

Dwóch Stalkerów już mu odmówiło. Nie chcieli nawet słyszeć o zapłacie. Z ostatnich wypadów pozostało im dość gambli na długie miesiące życia. Jeden od razu powiedział, że nie zabierze do Zony nikogo, niezależnie od ceny. Nie chciał wyjaśnić dlaczego.

Z małżeństwem młodych Łowców, którzy podobno mogli się zgodzić, też nie miał szczęścia. Wyruszyli zaledwie dwa dni przed jego przybyciem do Chicago. A Profesor zniknął zaraz po tym, jak John widział go przed warsztatem i nikt nie wiedział gdzie go szukać.

Człowiek, który dla wielu był chodzącą legendą, siedział teraz przy jednym ze stołów popijając piwo. Wyglądał na jakieś czterdzieści lat. John zastanawiał się, co robił, zanim został Stalkerem. Przecież nie wykładał na Uniwersytecie Illinois? A może to, co o nim mówili, że tak jak John był hibernatusem, który obudził się w Zonie kilka lat temu, było prawdą? To by wiele wyjaśniało...

Zgasił papierosa i wstał od stolika.

- A ty dokąd? - zdziwił się Sam.

- Muszę z kimś pogadać.

- Można się przysiąc? - spytał stając przed stolikiem Profesora.

Stalker przyjrzał mu się uważnie i skinął głową. W jego oczach przez chwilę coś zabłysło, ale zaraz potem zniknęło.

- Mam sprawę... Chcę wejść do Zony.

Kolejne skiniecie głową. Zupełnie jakby John zaproponował przed chwilą spacer po parku...

- Wejść się da. Jeśli ma się dużo szczęścia i umiejętności... - mężczyzna mówił cichym i pewnym głosem.

- Ale ty pewnie chcesz też wrócić - dokończył po chwili.

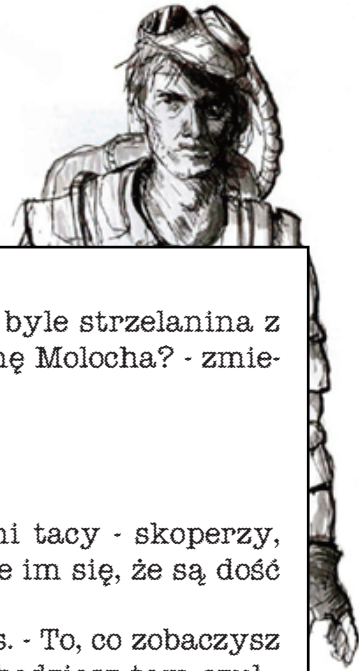
Tym razem to John kiwnął głową.

- Nie wiem tylko, czy stać cię na moje usługi. Wejść do Zony i wrócić to już bardzo wiele. Więcej, niż większości Łowcom kiedykolwiek się udało. Ale wprowadzić tam i wyprowadzić kogoś cało...

- Mam czym zapłacić...

- Możliwe... A czy wiesz, na co się porywasz?

- Radzę sobie.



- Ha! - huknął nagle starszy mężczyzna. - Ile razy ja to słyszałem!

- Ale tam, to nie to samo co gdzie indziej - Stalker zniżył głos. - To nie byle strzelanina z gangerami. To nawet nie potyczka z mutantami. Spotkałeś kiedyś maszynę Molocha? - zmienił nagle temat.

- Nie.

- A mutantów?

- Tylko raz, w opuszczonym miasteczku na południu.

- Więc może i nie masz spaczonyj perspektywy. Przyjeżdżają tu różni tacy - skoperzy, zabójcy maszyn z frontu, łowcy mutantów, zabijaki z Hegemonii... Wydaje im się, że są dość dobrzy, że sobie poradzą.

- Powiem ci jedno - Profesor odchylił się na oparcie krzesła i zniżył głos. - To, co zobaczysz w Zonie nie będzie przypominało niczego, co do tej pory widziałeś. To, co będziesz tam czuł... Widziałem ludzi, którzy tam wariowali. Widziałem Stalkerów, którzy podczas swojej drugiej, albo trzeciej wyprawy strzelali sobie w łeb, zdawałoby się bez powodu.

- To jak? - podjął po chwili - Dalej chcesz tam iść?

John milczał. Myślał o tym co przed chwilą usłyszał. Może ważniejsze od tego co, było raczej to, od kogo to usłyszał. Stalkerzy, z którymi rozmawiał w ciągu dnia bardzo niechętnie mówili o Zonie. Zastanawiał się dlaczego akurat ten uznał, że warto z nim o tym gadać.

- Tak - powiedział w końcu.

Profesor po raz kolejny kiwnął głową i Johnowi wydawało się, że w tym krótkim ruchu dostrzegł cień aprobaty.

- Teraz pomówmy o zapłacie - powiedział starszy mężczyzna, kiedy wrócił z następnym piwem - Lepiej, żebyś miał coś dobrego...

- Mam informacje... - zaczął po chwili John. - Znam położenie tajnego ośrodka wojskowego. Leży gdzieś pod Zoną.

Stalker przecesał dłonią rzadniejące włosy i spojrzał na Johna z błyskiem w oku.

- Skąd je masz?

- Z innej bazy. A właściwie... - sięgnął do kieszeni płaszcza i wyjął złożoną mapę.

- Tu jest dokładnie zaznaczona - położył rozłożoną kartę papieru na stół i wskazał palcem. - Współrzędne są zaszyfrowane, ale wiem jak je odczytać.

- Mhm... I czego tam szukasz?

- To moja sprawa.

- Nie, przyjacielu. Jeśli mam iść z tobą, to jest to nasza sprawa. W Zonie nie ma miejsca na dodatkowe niespodzianki. Tam jest ich dość.

John spojrzał mu w oczy. Nie był pewien, czy powinien mówić o swoim celu z nieznanym człowiekiem, ale poza czystą ostrożnością, nie przychodził mu do głowy żaden inny powód, by tego nie robić. W końcu podjął decyzję.

- Szukam informacji. O tym, kim byłem przed wojną i co robiłem. Skąd pochodzę i... czy mam jakąś rodzinę.

Milczenie przeciągało się w nieskończoność. W oczach Profesora zapaliły się jakieś złowieszcze błyski.

- Hibernatus... - jego cichy głos zaskrzypiał w końcu wolno, niemal z namaszczeniem. - Teraz rozumiem...

- Dobrze - powiedział niespodziewanie i nachylił się do Johna. - Pójdę z tobą.

- Kiedy idziecie? - Suzan leżała obok niego na łóżku w opuszczonej kamienicy. Skóra jej gładkich nóg i krągłych, drobnych piersi lśniła w blasku świecy stojącej na szafce. Pachniała słodko i ciepło. Po raz pierwszy od tak dawna...

John westchnął i sięgnął po paczkę papierosów leżącą na stoliku koło biurka. Sprawy mocno się skomplikowały.

Kiedy omówili z Profesorem szczegóły wyprawy i oblali umowę, John poczuł, po raz pierwszy od miesięcy, że jest zmęczony. Wcześniej nie zastanawiał się właściwie nad swoim



CHICAGO

życiem. Owszem, myślał o przeszłości. To była jego obsesja. Ale teraz, kiedy po długiej tułaczce był tak blisko celu, zdał sobie sprawę, że nie ma powrotu do tego co było. Niezależnie od tego, co znajdzie w Zonie, nic to tak naprawdę nie zmieni. Oczywiście dalej chciał tam iść. Musiał. Ale czuł, że to nie wystarczy. I wtedy do Chicago Blues weszła Suzan...

Było późno, ale nikt nie czuł się zmęczony. Sam, Suzan i nawet Moh mieli ochotę się zabić. John też tego potrzebował. Pili, żartowali i tańczyli do rana. Nawet nie przypuszczali, jak bardzo mu tego brakowało. Czuł się wspaniale - w knajpie, z zimnym piwem i muzyką, z przyjaciółmi.

Przyjaciółmi - kiedy po raz pierwszy nazwał ich tak w myślach, niemal się przestraszył. Nie pamiętał, żeby kiedykolwiek miał przyjaciół. A teraz nazwał tak ludzi, których znał za ledwie od kilku tygodni. I czuł, że nimi byli.

Kochali się z Suzan na pace ciężarówki - szybko i gwałtownie. Łapczywie, jakby był to ich pierwszy i ostatni raz. Potem dotykali się i całowali, szeptali jakieś słowa bez sensu. Ona płakała, on ją przytulał. Potem znowu się kochali. I znowu.

Kiedy obudził się rano, a ona wciąż tam była... coś ścisnęło go w gardle. Leżał tak, w ciszy poranka i drżał. Tym razem to on płakał.

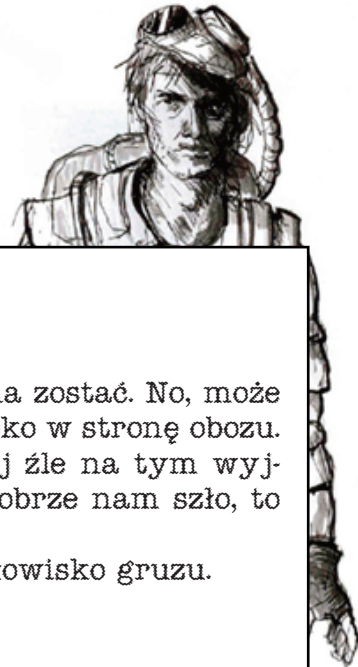
Inni starali się nie komentować, chociaż kilka razy dostrzegł łobuzerski uśmiech na twarzy Ricky'ego. Sam puścił do niego oko, kiedy minęli się w drzwiach łazienki. Tylko Mick chodził wściekły. Najwyraźniej miał wszystkim za złe, że ominęła go wczorajsza zabawa - pilnował ciężarówek.

No i Moh... Przez cały dzień zdawał się być nieswój. Nawet z Suzan nie rozmawiał dużo. Chodził tylko z marsową miną i zdawało się, że próbuje rozstrzygnąć jakiś nurtujący go problem. John domyślał się co to był za problem i w duchu obawiał się wniosków, do jakich może dojść wielki i opiekuńczy murzyn.

Wieczorem jednak, kiedy wymieniał olej w jednej z ciężarówek, olbrzym podszedł do niego i uśmiechając się poklepał go po ramieniu. Nic nie powiedział. Po prostu wykonał ten przyjacielski gest i uśmiechnął się, a potem poszedł, najwyraźniej dalej rozważając jakieś kwestie.

Od tego czasu minęły trzy dni. Trzy dni ciężkiej pracy przy samochodach i rozwożenia towaru. Trzy dni przygotowań i rozmyślań. I najpiękniejsze trzy noce w jego życiu - teraz, kiedy leżał koło Suzan w przeddzień wyprawy, był tego pewien.

- Jutro - powiedział wreszcie.
- Naprawdę musisz tam iść? To paskudne miejsce.
- Muszę - pogładził ją po lśniących, gładkich włosach.
- Mówią, że niewielu stamtąd wraca... - starała się ukryć przed nim swój strach, ale jej oczy zdradzały wszystko.
- Idę z najlepszym Stalkerem w Chicago. Umiem o siebie zadbać. Nie martw się o mnie.
- Nie martwię się - powiedziała marszcząc brwi.
- Akurat.
- A tak. Co mnie to obchodzi? - w jej głosie brzmiało wyzwanie.
- Wydaje mi się, że jednak trochę cię to obchodzi - mruknął John, ruchem dłoni zsuwając koc z jej nagiego biodra.
- Nie wyobrażaj sobie za wiele, panie Dufonse - mruknęła, udając oburzenie.
- Ja nic sobie nie wyobrażam...
- Koc zsunął się na podłogę, odsłaniając jej lśniące ciało i czarny trójkąt między jej udami.
- Mało tego - mruknął i przysunął ją do siebie.
- Wiem, że brakowałoby ci mnie.
- Dziewczyna chciała protestować, ale zamknął jej usta w długim pocałunku.



ROZDZIAŁ PIĄTY

Chciała iść z nimi. Na szczęście udało mu się ją przekonać, że powinna zostać. No, może nie do końca udało... Czuł, że była wściekła, kiedy się żegnali. Odeszła szybko w stronę obozu.

- Nie myśl tyle o niej - głos Profesora wyrwał go z transu. - Bo obaj źle na tym wyjdziemy. Skup się! Jesteśmy dwie mile od Zony. To, że do tej pory tak dobrze nam szło, to wyłącznie kwestia szczęścia.

- Dziwne - mruknął do siebie Stalker, kiedy przekraczali kolejne zwałowisko gruzu.

- Co?

- Jest za spokojnie. I tak już od paru tygodni...

- To chyba dobrze?

- Nie podoba mi się to - starszy mężczyzna wpatrywał się czujnie w horyzont przed nimi.

- Jak cisza przed burzą...

Szli już godzinę, może trochę dłużej. Właściwie to nie szli, tylko się przekradali. John nie był tym zdziwiony - nasłuchiwał się już dość o dzieciach znikających sprzed domu i ludziach, którzy wyszli poza enklawę tylko na chwilę i nigdy już nie wrócili. Zresztą nawet gdyby tego nie wiedział... W tym miejscu było coś takiego... Człowiek czuł, że jak nigdzie indziej na świecie, nie jest tu na miejscu. Wszystko, nawet gróz i powietrze zdawały się mu wrogie i złowieszcze. To nie cmentarzysko - myślał - to miejsce jest o krok dalej. Ono w jakiś sposób żyło, ale życiem całkowicie obcym i niezrozumiałym...

- To jak zły sen - szepnął do siebie.

- Hm?

- To miejsce. Jest jak z sennego majaku.

- Tak... Tyle, że koszmar jeszcze się nie zaczął.

Od Zony dzieliła ich jeszcze mila, kiedy John coś usłyszał. Zdziwił się, gdy Stalker niemal w tym samym momencie zamarł w bezruchu. Poza Johnem, mało kto potrafił usłyszeć tak ciche dźwięki. Profesor wykonał ruch ręką i obaj zapadli w najbliższą bramę.

Ulicą przemykało się czterech ludzi. Nosili mundury i karabiny. To byli ludzie Arii. Charakterystyczne hełmy, pełen rynsztunek i znaki na ramionach nie pozostawiały wątpliwości.

- Cholera - szepnął niemal bezgłośnie starszy mężczyzna.

- Co jest?

- Nie lubią mnie za bardzo. Lepiej, żeby nas nie zauważyli.

Nie było czasu pytać o powód tej niechęci. Odwrócili się powoli i ostrożnie ruszyli do schodów na piętro. Kiedy je pokonywali coś poruszyło się w stercie śmieci pod nimi i uciekło w mrok korytarza. Z zewnątrz dobiegł dźwięk ostrożnego truchtu.

- Kurwa... - warknął cicho Profesor i wbiegł bezszelestnie po schodach. John ruszył za nim. Rozdzielili się.

John ukrył się w małym pomieszczeniu, najprawdopodobniej starą biurze sekretarki. Po chwili z dołu dobiegł huk strzału i stłumiony głos.

- Sheise! Pieprzony kot.

Dufonse odetchnął, ale tylko na chwilę. Ktoś wchodził po schodach.

Dokładni są - pomyślał z uznaniem.

Drzwi uchyliły się i aryjski żołnierz zajrzał do pokoju. John znał procedurę - przód, prawa, lewa, za drzwiami.

Dokładnie w chwili, kiedy Aryjczyk przesunął się do przodu, żeby zajrzeć za drzwi, John puścił rurę, której trzymał się wisząc nad drzwiami. Spadł cicho za żołnierzem. Deski skrzypnęły. Ręka z nożem wystrzeliła do przodu i w bok, wbijając ostrze aż po rękajeść w szyję zaskoczonych wroga.

Złapał padające ciało i delikatnie położył na podłodze.



ZONA

Coś poruszyło się kilka pokoi dalej. John wyskoczył na korytarz, przyłgął skulony do ściany i pobiegł wzdłuż korytarza.

Kolejny żołnierz właśnie wylaniał się z półmroku obszernego gabinetu, kiedy John wyprysnął z przykłąku i ciał po łuku nożem. Krew bryzgnęła na ścianę. Z gardła umierającego wydarł się głośny bulgot i stłumiony skrzek.

Trzeci właśnie wchodził po schodach. Zauważył Johna w głębi korytarza i zaklął podrywając broń. Za późno. Ramię dzierżące nóż z szybkością nienaturalną dla człowieka cofnęło się w tył i ruszyło do przodu. Przez ułamek sekundy blask słońca zamigotał na ostrzu. Ciśnięty oręż z głośnym młasnieniem wbił się w korpus żołnierza, tuż pod jego szyją. Trzecie ciało osunęło się na stopnie i stoczyło z łoskotem na dół.

Zapadła martwa cisza. Jeszcze jeden - myślał. Sięgał właśnie po karabin zostawiony za drzwiami pierwszego pokoju, kiedy z dołu dobiegł go odgłos pojedynczego wystrzału. Podbiegł do okna i wyjrzał ostrożnie.

Profesor kucnął za stertą gruzów kilka metrów od kamienicy. Opierał się o ścianę i czujnie rozglądał. Czwarty członek patrolu Arii leżał martwy u jego stóp.

Na widok Johna wylaniającego się z bramy Stalker poderwał się zaskoczony.

- A gdzie reszta? - spytał.

- Nie żyją.

- Nie było strzałów.

John ruchem głowy wskazał na nóż spoczywający w pochwie u pasa.

Stalker chwilę patrzył na niego, jakby nie mógł się zdecydować. Wreszcie ruszył w kierunku schodów.

- Jasna cholera - mruknął wychodząc z kamienicy kilka minut później. Teraz był już pewien.

To był bardzo udany dzień - pomyślał Billy, stojąc w spowitym w półmroku gabinecie.

Od roku pracował jako szpicel wywiadu Arii. Nie był żadnym fanatykiem, a już na pewno nie wierzył w te brednie o czystości rasy i aryjskiej dominacji. Jeśli idzie o ścisłość, to właściwie nigdy nawet nie był specjalnie wierzący i nie miał żadnych "poglądów politycznych". Ale musiał z czegoś żyć, a niewiele potrafił.

Od dziecka był mały i niepozorny. Zawsze ostatni w kolejce. Zawsze za innymi rówieśnikami. Zawsze na uboczu. Ale potrafił obserwować i w tym właśnie upatrywał swojej szansy.

Kiedy zeszedł zimy, desperacko szukając jakichś gambli poza enklawą, wszedł nieopatrznie na teren Arii i został schwytany przez patrol, myślał, że już po nim. Los jednak uśmiechnął się do niego i dano mu szansę - szpiegował dla Wodza, w zamian za życie i jedzenie. I w gruncie rzeczy, był z tego układu bardzo zadowolony.

Od dawna wiedział już, że Aria ma na pieńku z Profesorem i chce się go pozbyć. Nie wnikał w powody, liczyły się pieniądze. Trzy dni temu, kiedy siedział w Chicago Blues, los uśmiechnął się do niego po raz kolejny. Podśluchał rozmowę starego Stalkera i tego obcego - Dufonse'a. Za te informacje dostał ładny kawałek sprzętu i leków.

A dziś widział jak ta mała z Ósmej Mili żegna się z odchodzącymi. Był bystry i od razu skapował o co tu chodzi.

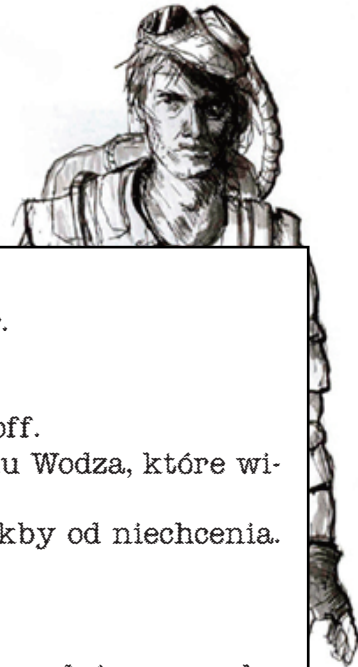
Teraz stał, kuląc się usłużnie, w gabinecie szefa Służb Porządkowych Arii - obersta Michaela Heinza von Berghoffa - i zdawał raport. Szykowała się kolejna okazała wypłata. Może go nawet awansują? Mianują członkiem partii i wyznaczają stały żołd?

- Więc twierdzi pan, herr Gispay, że ta niewiasta spółkuje z niejakim Johnem Dufonse, nowym towarzyszem Profesora?

Billy bardzo nie lubił sposobu w jaki wystawiał się jego zwierzchnik. Te całe maniery i grzeczne słówka wcale nie czyniły z niego przyjemnego gościa. Wręcz przeciwnie - wydawał się przez to jeszcze bardziej straszny i groźny. I to spojrzenie... Jak u węża...

- Tak, herr Berghoff. Na pewno się pieprzą.

Dowódca wywiadu Arii skrzywił się słysząc wulgarne słowo. Bill skulił się jeszcze bar-



dziej i nerwowo przeczesał przetłuszczone włosy brudną ręką.

- To znaczy spółkują... - poprawił się szybko. - Jestem tego pewien, sir.

Kolejny grymas niezadowolenia przemknął przez twarz oficera.

- Tak... - mruknął wpatrując się w podwładnego.

- Oni... Pytałem trochę i jestem tego pewien, s... to znaczy herr Berghoff.

Dowódca odchylił się w fotelu za biurkiem i utkwilił spojrzenie w zdjęciu Wodza, które wisiało na ścianie koło okna.

- Możecie odejść Gispys - powiedział w końcu, spoglądając na szpicla jakby od niechcenia.

- Zgłosicie się do kwatermistrzostwa po zapłatę.

- Jeśli można...

- Podwójna stawka - warknął oberst. - I zejdźcie mi już z oczu.

Billy drygnął, próbując ni to zasałutować, ni to ukłonić się i ściskając wełnianą czapkę w garści, wycofał się tyłem w kierunku drzwi.

- I co o tym myślicie, Hoth? - zapytał Berghoff, kiedy drzwi się zamknęły.

Mężczyzna siedzący do tej pory nieruchomo na fotelu w rogu gabinetu drgnął. Przechylił się nieznacznie do przodu pozwalając, by jego śniada twarz wyłoniła się z cienia.

- Można to wykorzystać, herr oberst. Zwłaszcza, że straciliśmy kontakt z oddziałem komandosów. Od początku twierdziłem, że ten Dufonse mi się nie podoba. Wysłanie oddziału czterech ludzi było...

- Wiem co o tym myśleliście, Hoth - słowa dowódcy padały ciężko jak ołowiane kule. - I nie mam zamiaru słuchać tego więcej.

- Tak jest, herr oberst. Ale gdyby pozwolono mi...

- Milczec - Berghoff nie musiał podnosić głosu, sam jego ton wystarczył, by zmrozić nawet najwyżej postawionych oficerów Arii. Ten człowiek miał władzę dorównującą Wodzowi. Niektórzy nawet - bardzo cicho - szeptali, że większą.

- Weźmiecie pięciu ludzi i sprowadzicie mi tu tę... kobietę.

Młody oficer poderwał się z miejsca i wyprężył na baczność.

- Jawohl, herr oberst.

- Nie muszę chyba mówić, że macie to zrobić po cichu. I lepiej, żeby nikt nie domyślił się, że to my, Hoth.

- Jawohl, herr oberst.

- Cieszy mnie to - w oczach przełożonego zatańczyły dwa płomyki. - Możecie odejść.

- Tak jest.

- Aha - mruknął Berghoff, kiedy Hoth był już przy drzwiach. - Pozbądźcie się tego szpicla. Za dużo wie i robi się bezczelny. Nienawidzę ludzi nieokrzesanych i bezczelnych.

- Tak jest, herr oberst.

Drzwi gabinetu zamknęły się bezszelestnie. Oberst Michael Heinz von Berghoff, zwierzchnik wywiadu Arii i jeden z najgroźniejszych ludzi w tej części świata odchylił się na oparcie i wpatrzył w portret Wodza wiszący na ścianie. Myślał o swoim najzdolniejszym oficerze i agencie - hauptmannie Erichu Hothu. I o innym, nieżyjącym już, Skoperze Arii.

Taniec cieni. Zaczęło się, kiedy przekroczyli granice dawnego centrum. Na początku wzięło to za złudzenie, wytwór własnej wyobraźni. Teraz, gdy mrok otaczał ich z każdej strony, a ciemne kształty nieustannie majaczyły na granicy wzroku, nie był już tego pewien. Wokół nich działo się coś złego. Czuł to każdym nerwem swojego ciała.

Planowali rozbić obóz pół mili od Zony i przeczekać noc w ukryciu. Jednak po spotkaniu z żołnierzami Arii Profesor stał się nerwowy i zdecydował, że lepiej wejść od razu, a potem opuścić Strefę od drugiej strony.

John nie kwestionował jego decyzji... aż do teraz. Z każdą mijającą minutą, z każdą sekundą spędzoną tu - wśród opustoszałych, czarnych wieżowców z betonu i szkła - coraz mocniej czuł, że był to zły pomysł.

Profesor prowadził. Szedł bardzo powoli. Co jakiś czas rzucał przed siebie mały przed-



ZONA

miot przypominający lśniący kamyk i sprawdzał coś na wyświetlaczu urządzenia zawieszzonego przy pasie. Czasami urządzenie piszczało cicho i wtedy wybierali inną drogę. Czasami bez wyraźnego powodu zawracali i cofali się całe przecznice. Stalker był wyjątkowo skupiony i ostrożny. Zdawało się, że każdy jego krok jest dokładnie przemyślany i wyliczony.

Johnowi przypadło w udziale obserwowanie okolicznych okien i dachów. Profesor nie wyjaśnił mu czego ma tam szukać, co może się tam pojawić. Po prostu miał to robić i ostrzegać, kiedy tylko zobaczy coś "niezwykłego". Frustrujące zajęcie. Tutaj wszystko wydawało się podejrzane i groźne. Może sztuka polegała na szukaniu rzeczy, które wydają się z pozoru normalne i niegroźne, ale w jakiś sposób inne? Zaczynał powoli wariować. Każdy szyld, każde okno i drzwi - wszystko budziło w nim niepokój i podejrzenia.

Profesor zdawał się za to zwracać uwagę na całkiem inne rzeczy. Raz zawrócili, kiedy stary kapsel wtoczył się po rampie do góry. Innym razem wiatr ustał nagle i Stalker długie minuty stał w bezruchu, aż świst nie odezwał się znowu wśród wieżowców.

To była paranoja. To miejsce było przeklęte, nie z tego świata. Prawa fizyki zdawały się tutaj ugiąć pod ciężarem jakiegoś niewytłumaczalnego zjawiska.

Słońce dawno już skryło się za horyzontem. Mrok wziął świat we władanie. Ich ostrożne kroki odbijały się echem wśród kanionów wymarłego dystryktu. Wiatr ustał. Cisza była wszechobecna. Nie dzwoniła w uszach. Boże... ona wyła. Wyła głosem tysięcy umierających w męczarniach, tysięcy mordowanych dusz. Zło, które spadło na to miejsce... Wszyscy ci ludzie...

John obrócił głowę. Mała dziewczynka bawiła się w zaułku. Skakała między starannie wyrysowanymi na ziemi, białymi liniami. Jej króciutkie warkoczyki podrygiwały w rytm kolejnych podskoków. Niebieska sukienka to unosiła się, to opadała, odsłaniając białe rajstopki i lakierki. Cichutkim, cienkim głosikiem śpiewała jakąś starą piosenkę-wyliczankę.

W mroku za nią czaił się mężczyzna. Złe, nabiegłe krwią i pożądaniem oczy świeciły wewnętrznym blaskiem. W ręce trzymał kuchenny nóż.

John krzyknął i rzucił się w stronę dziecka sięgając po pistolet. Mężczyzna z nożem nie zauważył go, nie usłyszał. Wyszedł z cienia za plecami dziewczynki.

Już prawie dobiegł. Broń nie chciała wyjść z kabury, parzyła w rękę. Wreszcie wyrwał ją. Nie mógł strzelać. Mógłby trafić dziecko. Krzyczał, ale ona nie słyszała. Skoczyła, wylądowała na ostatnim polu i uśmiechnęła się unosząc główkę. Ostrze za jej plecami podniosło się do góry. John rzucił się do przodu. Już prawie ją miał. Była tak blisko...

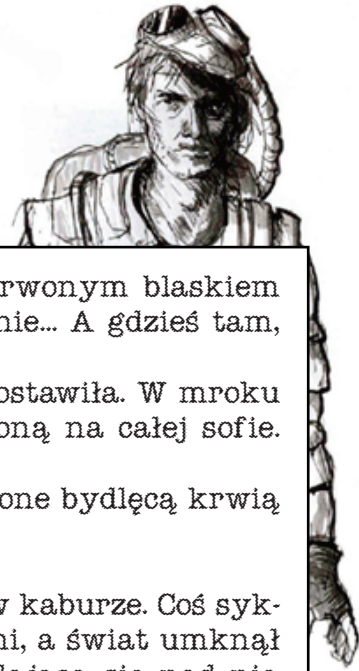
Nagle coś szarpnęło go za ramię i przewróciło na ziemię. Poderwał się i wycelował. Przed nim stał Profesor. Obrócił głowę nic nie rozumiejąc. Dziewczynka, mężczyzna z nożem i białe linie na chodniku rozmywały się powoli, stawały na powrót cieniami pośród cieni.

- Patrz - szepnął profesor i podniósł z ziemi starą puszkę. Cisnął nią w głąb zaułka. Błaszany pojemnik potoczył się po ziemi w miejscu, gdzie przed chwilą mała dziewczynka grała w klasy. Metal zasyczał i zaczął się topić. Po chwili na asfalcie została tylko szybko parująca, mokra plama.

- Anomalie - mruknął Stalker i odwrócił się do Johna plecami. - Nie ufaj swoim oczom, przyjacielu. Nie tu.

Suzan przekręciła klucz w zamku i wsunęła się cicho przez uchylone drzwi do swojego pokoju. Nie chciała budzić Moha, który spał zwinięty na tapczanie. Ten kochany wielkolud uparł się, że będzie jej pilnował nawet w nocy. Dawno przyzwyczała się do jego opiekuńczego sposobu bycia względem niej. Uważała to za słodkie. Nie wiedzieć czemu, czarnoskóry olbrzym od początku traktował ją jak swoją małą siostrzyczkę. Nigdy jednak nie zachowywał się tak dziwnie. Od kiedy John wyruszył z tym Stalkerem, nie odstępował jej na krok. No cóż. Ją też nieco przerażało to miasto. Było takie... nieludzkie.

Kiedy wychodziła, Mohi spał zmęczony po całodniowej harówce przy szlachtowaniu bydła. Napracował się biedaczek i zasnął niemal natychmiast. Wykorzystała to, żeby wy-



umknąć się na chwilę i pospacerować po enklawie. Nocą, oświetlona czerwonym blaskiem nieustannie płonących ognisk na jej obrzeżach, wyglądała niemal pięknie... A gdzieś tam, za ścianą płomieni, pośród nocy i ruin był John.

Zamknęła cicho drzwi i przekręciła zamek. Moh leżał tam, gdzie go zostawiła. W mroku jaki zalegał pomieszczenie widziała jego niewyraźną sylwetkę rozwaloną na całej sofie. Podeszła cicho i dotknęła czule jego piersi. Koszula była mokra.

Dziwne - pomyślała. - Nie było przecież gorąco, a Moh zmienił poplamione bydlęcą krwią ubranie przed snem...

- Witam, pani Fereyra.

Suzan odwróciła się napięcie i spróbowała wyszarpnąć broń tkwiącą w kaburze. Coś syknęło i poczuła palące ukłucie na udzie. Cienie zawirowały jej przed oczami, a świat umknął spod nóg. Zanim osunęła się w otchłań, zdążyła jeszcze dostrzec pochylającą się nad nią mroczną postać i błysk światła w błękitnych jak lód oczach.

Puste ulice pełne dawno nieżyjących ludzi. Co tu robili? Minęło tyle lat... Jakaś kobieta stojąca w strugach deszczu po przeciwnej stronie drogi próbowała złapać taksówkę. Zachana para całowała się przed drzwiami restauracji. Spocony robotnik kuł młotem pneumatycznym asfalt w skwarze popołudnia. Cień samotnego Stalkera przemykał skulony w cieniu wieżowców, w jego oczach płonął strach. Adwokat wybiegł z kancelarii. Na pewno śpieszył się na kolację do domu. W końcu było już po północy.

Oni wszyscy... Dlaczego tu byli? Czego chcieli i dokąd zmierzali? Może donikąd. Może nie mogli stąd odejść. Cienie wśród cieni. Zagubione dusze. Czy jestem jednym z nich? Co ja tu robię?

John potrząsnął głową, starając się wrócić... Właśnie, ale skąd? Przecież był tu. Tak jak inni.

- John... - Stalker delikatnie dotknął jego ramienia.

- Ja...

- Wiem, że to trudne, ale postaraj się ich nie zauważać. Nie idź za daleko. Stamtąd jeszcze nikt nie wrócił.

Słowa starego Łowcy wydawały się równie nierzeczywiste jak obraz otaczającego ich miasta. Były puste, ale pełne tych przeklętych cieni. Potrząsnął głową jeszcze raz i zogniskował wzrok na porzewiałej latarni ulicznej. To miejsce było martwe - tak jak całe miasto, jak całe Zastrane Stany i cały świat. Po prostu umysł plątał mu figle.

- Będzie padać - mruknął Profesor spoglądając na skrawek nieba wysoko nad nimi.

- To dobrze, czy źle?

- Nie mam pojęcia. Nigdy tu nie padało.

Pierwsze krople uderzyły o wraki samochodów. Gnana wiatrem stara gazeta zawirowała w powietrzu.

- Dzieje się coś dziwnego. Musimy się pospieszyć - powiedział starszy mężczyzna.

- Chyba jesteśmy już blisko. Na mapie to dwie przecznice stąd - głos Johna zginął w nagle zrywającej się wichurze.

Stali w strugach deszczu na podjeździe dla karettek. Ociekająca wodą, brązowa tablica przed wejściem do szpitala głosiła, że prywatna klinika pod wezwaniem archanioła Rafaela jest własnością firmy Biolab INC.

- To musi być tu - powiedział John wpatrując się w rycinę przedstawiającą skrzydlatą postać w habitcie.

- Klinika pourazowa, sprytnie to wymyślili. Coś mi to przypomina...

- Co masz na myśli? - Dufonse oderwał wzrok od tablicy i spojrzął na Profesora.

- Nie mieli problemu z ukryciem dostaw sprzętu...

Automatyczne drzwi ustąpiły pod naporem żelaznego pręta - rozsunęły się z cichym pi-



ZONA

skiem zaśniedziałych uszczelkach. Snop światła z latarki omiół pusty hol. Linoleum na podłodze zaskrzypiało w kontakcie z gumą na podeszwach ich butów. W pustej recepcji stał martwy komputer. John przesunął krzesło i usiadł przed konsolą.

- Co robisz? - Stalker stał w głębi korytarza i ze zdziwieniem oglądał się na towarzysza.

- Jeśli pod nami jest wojskowe laboratorium, ten budynek musi być podpięty do systemu - mruknął John pochylony nad szafką hardwareową, manipulując rękami w jej wnętrzu.

- Jest...! - sapnął i niemal w tym samym momencie ekran konsoli pojaśniał. John wyprostował się i wysunął wąską klawiaturę sterowania manualnego. Na ekranie zaczęły pojawiać się kolejne rzędy kodu i linie komend.

- Nie znam tego systemu - mruknął po chwili zdziwiony. - Przypomina Charona, ale stare furtki i hasła nie działają.

- Moment - przerwał mu Stalker. - Przecież to pieprzony Clinic Microsoftu.

Palce Johna znieruchomiały na klawiaturze. Przez chwilę zdawał się coś rozważać. W końcu podjął decyzję.

- Charon był jednym z pierwszych systemów pasożytniczych - zaczął mówić, wznawiając pracę na konsoli. - Wymyślił go w dwa tysiące dwunastym Jeremiasz Goldberger. System działa jak wirus, ładuje się do pamięci wewnętrznej i zmienia konfiguracje danych zapisywanych w pamięci dyskowej. Wykorzystuje pozornie przypadkową kolejność zapisu do przechowywania własnych ustawień i kartotek. Klucz dekodujący przechowywany jest zawsze w RAM-ie i tylko przy wyłączeniu konsoli czytywany jest na dysk. Ten typ systemu jest cholernie trudny do wykrycia, zwłaszcza, że niewielu o nim wiedziało. Miał dwie wady, nie działał na starszych maszynach i był dość nieefektywny i wolny. Dlatego stosowało się go głównie jako bramę do większych, ukrytych maszyn, lub w charakterze narzędzia do manualnej kontroli nad systemami zabezpieczeń. Montowali je głównie w tajnych ośrodkach i centrach dowodzenia tam, gdzie osoby postronne mogły dostać się do terminala.

- A skąd to wiesz?

- Nie mam pojęcia. Chyba uczyłem się o tym kiedyś...

- Hmm... Czyli jeśli dostaniesz się do tego systemu w systemie, będziesz miał kontrolę nad bazą?

- Niekoniecznie. Komputer główny mógł odciąć dostęp do najważniejszych funkcji z terminali zewnętrznych. Ale tak, czy inaczej dostanę się przynajmniej do zewnętrznych baz danych i znajdę plany budynku. Może uda mi się otworzyć wejście do kompleksu wewnętrznego.

- A czym konkretnie różni się ten system od Charona?

- Mówiłem, stare furtki nie działają. Słów kluczy też nie łapie.

- Spróbuj wyłączyć przetwarzanie potokowe i w panelu obsługi przerwań wprowadź ten ciąg - stary Stalker podciągnął rękaw ukazując szereg znaków kubitowych.

John przesunął spojrzeniem po linii kodu i uniósł zdumiony wzrok na twarz Profesora. Starszy mężczyzna skinął głową.

Pięć minut później system zażądał identyfikacji. John niemal bez udziału świadomości wprowadził swój numer autoryzacyjny i aktualne według obecnego licznika hasło. Ekran pociemniał i rozblysnął na nowo. Pojawił się komunikat:

»Kontrola funkcji systemu...

(

»Sprawdzanie kartotek...

(

»Łączenie z matką...

»Uwierzytelnianie...

(

(



John przebiegł palcami po klawiszach.

»Uruchamiam procedurę przywracania zasilania strefy zewnętrznej...

(

- Cholera...

»Wczytuję plan ośrodka...

(

»Uruchamiam procedurę otwarcia wejścia głównego...

(

(

- Spróbuj włączyć alarm - mruknął starszy mężczyzna.

- A ty skąd się na tym znasz? - John podniósł powoli głowę. - Skąd masz ten tatuaż?

- Wyjaśnię ci potem...

- Wyjaśnisz mi teraz - odsunął się od komputera i spojrzał na swojego towarzysza. Profesor posłał mu groźne spojrzenie, ale po chwili zaczął mówić.

- Właściwie, to masz prawo wiedzieć - "żadnych tajemnic w Zonie". Słyszałeś plotki o tym, że stąd pochodzę?

Młodszy mężczyzna kiwnął w milczeniu głową.

- To w pewnej mierze prawda. Obudziłem się w Strefie. Spałem w komorze hibernacyjnej pod hotelem Metropol. Przed wojną byłem naukowcem, pracowałem dla rządu przy projektach... wojskowych. Niewiele pamiętam. Kiedy tu wracam, miewam różne przebłyski. Czasem przypominam sobie różne rzeczy. Nie mogę sobie uświadomić skąd je znam. Po prostu nagle "wiem" co powinienem zrobić, albo jak się zachować. Ty chyba też tak masz. Nie mylę się, prawda? Od razu wydałeś mi się jakiś znajomy. Tylko za cholere nie mogłem sobie przypomnieć skąd cię znam. Teraz już wiem. Musieliśmy spotkać się kiedyś, przed wojną, w jednym z tych kompleksów.

Zaległa krótka cisza. Obaj mężczyźni mierzyli się spojrzeniami.

- A teraz - powiedział Łowca - uruchom tę pieprzoną procedurę i zobaczymy co się stanie.

John wystukał kilka krótkich komend i obaj mężczyźni wpatrzyli się w ekran.

»Uruchamiam procedurę ewakuacyjną...

(

(

(

(

- Co jest, cholera? - warknął Dufonse.

- Coś jest nie tak... Tak nie powinno być.

- Tyle to i ja widzę.

- Chyba coś popieprzyło się w jądrze...

Na ekranie zaczęły pojawiać się kolejne linie bezsensownego bełkotu informacyjnego - ciągi nie powiązanych, pojedynczych wyrazów, liter i cyfr. Diody na obudowie mrgały szaleńczo. W końcu wszystko ustało. Tylko jedna lampka migiała miarowo. Ekran znów zapłonął...

(

(

Z oczu płaskorzeźby archanioła Rafaela na tablicy przed budynkiem pociekły krwawe łzy.



ZONA

Pomalowany olejną farbą korytarz niknął przed nimi w mroku. Gdzieś z jego głębi docierał do nich miarowy dźwięk kapiącej wody. Szli bez światła - musieli oszczędzać baterie. Według planu, który znaleźli w bazie danych, wejście do strefy wewnętrznej znajdowało się na końcu tego holu. Tamtędy jednak przejść nie mogli. System zablokował wejście i odciął laboratorium od świata zewnętrznego. Pozostawało wyjście awaryjne znajdujące się w szybie windy. Problem polegał na tym, że droga ewakuacyjna przewidziana została właśnie na ewakuację. Służę otwierało się od wewnątrz, nie od zewnątrz. John przypuszczał, że możliwe jest jej ręczne otwarcie od strony grodzi, najpierw jednak musieli się tam dostać, a nie wiedzieli, na którym piętrze kończy się szyb awaryjny.

- Rozdzielmy się - powiedział Profesor, kiedy dotarli do wejścia na klatkę schodową. - Ja sprawdzę piętra, tobie zostaje parter i piwnica.

- Nie wiem, czy to dobry pomysł.

- W Strefie jest jedna zasada. Jeśli Ich spotkasz - jesteś martwy. Nie znam nikogo, kto by Ich widział i przeżył, by o tym opowiedzieć, a znam wszystkich, którzy wrócili. Im szybciej stąd wyjdziemy, tym lepiej.

- Jak będziemy się komunikować?

- Weź to - stary Stalker podał Johnowi foliowy worek wypełniony małymi kapsułkami, które rzucał przed siebie, gdy przemierzali miasto. - To fasolki, mikroczuJNIki temperatury, ciśnienia, grawitacji i fal sejsmicznych. Rzucaj je przed siebie co jakiś czas. Znasz alfabet morsa? W razie czego uderzaj o podłogę, a ja odczytam to na odbiorniku. Jeśli ja coś znajdę, zejdę tu i poczekam na ciebie.

John kiwnął głową.

- Powodzenia.

- Powodzenia.

Stary Łowca odwrócił się i zaczął wspinać powoli po schodach. John odprowadził go wzrokiem i ruszył dalej korytarzem.

Za dużymi, przeszklonymi drzwiami tańczyły cienie. To stamtąd dobiegał odgłos miarowego kapania. Dufonse pchnął ostrożnie jedno ze skrzydeł, które bezgłośnie ustąpiło. Znalazł się w dużym pomieszczeniu - dawniej zapewne pełniącym rolę głównego holu, recepcji i poczekalni. Plastikowe, czerwone krzesła stały w rzędach pod ścianami. Reszta otoczenia tonęła w mroku i szarości. Po wielkich, przeszklonych ścianach zewnętrznych spływały strugi deszczu. Dźwięk spadających kropel ustał. Nigdzie wewnątrz nie było widać śladu wilgoci. Szerokie schody prowadziły w górę, gdzieś na wyższe piętra.

Na ladzie recepcji leżały porzucone okulary. Dziwny widok w tym pustym i sterylnym miejscu. Kropla chaosu w morzu martwego i obcego ładu. Wspomnienie życia w krainie śmierci. Czy należały do jednego z pracujących tu przed zagładą lekarzy? Może do kogoś, kto dotarł tu później? Czy możliwe, że ktoś tu przeżył? Mieszkał tu jeszcze lata po wojnie? Musnął metalową oprawkę opuszkami palców...

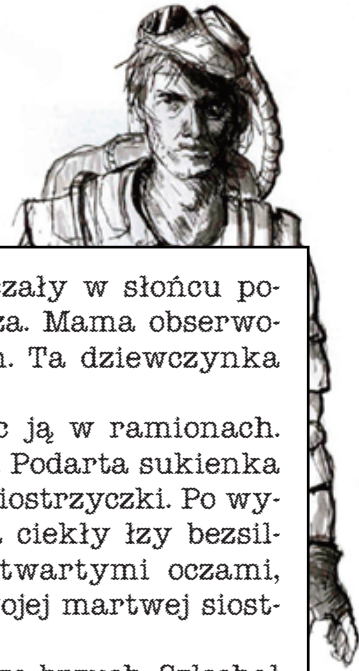
Za jego plecami znowu rozległo się miarowe kapanie. Lodowaty dreszcz przemknął po jego plecach. Nieskończenie powoli odwrócił głowę... Okulary z brzękiem upadły na podłogę.

Na ścianie za nim wisiał człowiek. Nagie ciało przyszpilono do gipsowej płyty dziesiątkami skalpeli. Ciemna krew sączyła się powoli z ust i opadała ciężkimi kroplami na szare kafle posadzki. Szeroko otwarte oczy wpatrywały się w niego. Cienie zatańczyły pod ścianami. Cieknąca po oknach woda spłynęła kurtyną krwi. Fala czerwonego półmroku zalała wnętrze wielkiego holu. Gdzieś z góry dobiegły dźwięki powolnych kroków.

Wentylatory pod sufitem zaskrzypiały złowrogo i ożyły. Gęste powietrze zawirowało wokół Johna. Coś trzasnęło tuż za nim - nagły, ostry dźwięk, fala gorąca, obrót, strzał.

Wszystko skończyło się równie szybko, jak się zaczęło. Wentylatory stanęły, krwawy blask zniknął, ciało na ścianie rozwiało się niczym nocny majak. Stał z bronią w trzęsącej się ręce. Z lufy pistoletu unosiła się wątła smużka dymu...

Ze szczytu schodów spoglądała na niego dziewczyna w niebieskiej sukience. Patrzyła na niego wielkimi, czarnymi oczami. Uśmiechała się... Tak, jak jego młodsza siostrzyczka. Denis też nosiła niebieską sukienkę. Matka ubierała ją w nią zawsze w niedzielę, kiedy całą ro-



dziną szli na mszę, a potem na lody i lemoniadę. Jej złote loki błyszczały w słońcu popołudnia, kiedy razem z innymi dziećmi bawili się w parku koło ratusza. Mama obserwowała ich ze stojącej opodal ławki. Uśmiechała się i rozmawiała z ojcem. Ta dziewczynka wyglądała dokładnie jak jego mała siostrzyczka...

Z ust Denis wąską stróżką ciekła krew. Matka szlochała trzymając ją w ramionach. Ostatnie promienie zachodzącego słońca rozświetlały drobną twarzyczkę. Podarta sukienka poznaczona plamami brudu i czerwieni zwisała z bezwładnego ciała jego siostrzyczki. Po wykrzywionej strasznym grymasem, poranej zmarszczkami twarzy ojca ciekły łzy bezsilnego gniewu i rozpacz. Mały Johny stał w rogu pokoju. Szeroko otwartymi oczami, skamieniały z przerażenia wpatrywał się w bezwładną, drobną dłoń swojej martwej siostrzyczki.

Profesor znalazł go klęczącego na podłodze - ramionami obejmował się za brzuch. Szlochał niczym mały chłopiec. Spazmy płaczu wstrząsały jego klatką piersiową. Z trudem łapał powietrze. Porzucona broń leżała u jego stóp.

- On ją skrzywdził...! Zabił moją małą siostrzyczkę...

- Spokojnie - stary mężczyzna ukląkł koło swojego towarzysza i objął go ramieniem.

- Ona... Ona była taka mała... Ja... Ja nic nie mogłem zrobić... On ją skrzywdził. Ja nic nie mogłem zrobić... rozumiesz?!

- Rozumiem - nie rozumiał. Nikt nie mógł zrozumieć. Ale wiedział jak to jest.

- Już dobrze. To minęło. To przeszłość - silnym ramieniem przycisnął jego głowę do siebie.

Dwaj mężczyźni klęczeli tak w półmroku, jeden koło drugiego. Deszcz tłukł w okna. Archanioł Rafael skrył swą twarz za spiżowym kapturem.

Biegli korytarzem trzeciego piętra.

Gdzieś tu, na Boga, były drzwi! Co się z nimi stało?

Coś szło za nimi. Nie słyszeli kroków, ale kiedy oglądali się za siebie widzieli, jak fala ciemności za ich plecami gęstnieje i spiętrza się, jakby przygotowując się, by wypluć na świat coś strasznego. Koszmar ogarniał ich ze wszystkich stron. Nie było światła na końcu tunelu, którym biegli. Nie było wyjścia. Zostaną tu na wieki. Dołączą do galerii cieni...

Jednak pojawił się promyk... Wreszcie dopadli do drzwi. Były zamknięte. John szarpnął potężnie, ale nie miał już sił. To miejsce wysysało go, pochłaniało. Ściana mroku była coraz bliżej. Szarpnął znowu. I jeszcze... Zamek ustąpił. Wpadli do środka. Małe pomieszczenie musiało być kiedyś składem na szczotki. Zatrzasnęli drzwi i przywarli plecami do przeciwległej ściany.

Ciemność przemknęła korytarzem. Chłód wtargnął do pomieszczenia i rozwiął się po chwili. Nastąpiła cisza.

- Odeszło...?

Obaj mężczyźni ściskali kurczowo w dłoniach broń wymierzoną w drzwi. Nie było tu żadnych innych wejść. Wypełnione ciemnością pomieszczenie miało rozmiar dużej komórki. Cokolwiek miało się stać, musiało nadejść od strony sklejkowych drzwi.

Cisza ciągnęła się w nieskończoność. Od czasu, do czasu dobiegały ich stłumione odgłosy. Jakby szurnięcia i poskrzypywanie.

Wreszcie usłyszeli kroki. Coś poruszało się bardzo szybko w korytarzu za drzwiami. Głośny dźwięk, jakby skowyt, rozległ się nieopodal. Potężne uderzenie szarpnęło zastawionymi szafką drzwiami. Kolejne uderzenie - szafka zachwiała się i upadła. Drzwi z impetem uderzyły o ścianę. Strzelili w tej samej chwili. Huk eksplozji ładunków prochowych wstrząsnął pomieszczeniem. Łuski ze szmerem posypały się na podłogę. Istota trafiona kilkunastoma pociskami szarpnęła się do tyłu i zniknęła w ciemności. Wszystko ucichło.

John pierwszy otrząsnął się z szoku. Przeładował broń i podniósł się z klęczek. Sięgnął po latarkę i ostrożnie wyszedł za drzwi. Podziurawione kulami ciała młodej kobiety spoczywało pod przeciwległą ścianą korytarza. Potargane, złote loki opadały na martwą twarz.



ZONA

Z jej delikatnych ust ciekła strużką krew.

- Ja ją znam - powiedział cicho Profesor stając za plecami Johna. - To Kelly, żona Callagana...

Ktoś szedł korytarzem. Po chwili z mroku wyłonił się zgarbiony, kulejący mężczyzna. Nie zwrócił na nich najmniejszej uwagi. Wydawał się pogrążony w transie. Puste, zaczerwienione oczy utkwił w twarzy martwej kobiety. Minął obu mężczyzn i klęknął przy niej. Drżącą dłoń dotknął jej policzka i wyszeptał coś niedosłyszalnie.

- Callagan... - zaczął Profesor łamiącym się głosem i urwał. Nie wiedział co powiedzieć. Przeprześć? Ale za co? Czy to coś zmieni? Czy pomoże...? Znał ich od tak dawna. To miała być ich ostatnia wyprawa. Chcieli za zdobyty sprzęt wyjechać z Chicago i założyć rodzinę gdzieś na południu. Kelly tyle razy opowiadała mu o swoim nienarodzonym synku, który przychodzi do niej w snach. Jasna cholera... Ich nie miało tu być! Mieli wrócić z Zony dwa dni temu.

- Callagan... ja... - nie zdążył dokończyć. Callagan Gibson, dwudziestopięcioletni Stalker, który dwa razy wrócił z Zony, po raz ostatni pocałował swoją żonę - jedyną istotę na tym świecie, dla której warto było żyć - i sięgnął po broń.

Kelly próbowała go przekonać by nie szli. Mówiła, że jakoś sobie poradzą. Wyjadą na południe i tam, za resztkę sprzętu z ostatniej wyprawy, kupią farmę - poradzą sobie...

On wiedział, że to nieprawda. Znał ceny dobrej ziemi w Teksasie, rozmawiał o tym z ludźmi z karawan. Nie starczyłoby im.

Dwa razy wrócili z Zony - to prawda. Z drugiej wyprawy nie przynieśli jednak wiele, a pierwsza była już odległym wspomnieniem - tak jak skarby, które wtedy znaleźli. Byli młodzi, nie myśleli o przyszłości, chcieli się wyszaleć... zapomnieć. Teraz nie mieli prawie nic. I jeśli chcieli, żeby ich syn urodził się i dorastał na teksańskiej farmie, musieli iść.

- Zostań, jeśli chcesz. Tak będzie nawet lepiej - powiedział.

- Nie chcę, żeby coś ci się stało na ostatnim spacerze - uśmiechnął się do niej na poły figlarnie i smutno, ciesząc się ich starym żartem.

- Call... - podeszła do niego i uklękła przy jego krześle. - Wiesz, że nie puszczę cię samego. "Gdzie ty, tam ja" - pamiętasz...?

- Zawsze chodziliśmy razem - dodała po chwili. - Pójdę z tobą, jeśli uważasz, że to konieczne.

I poszli. Zimnego, wtorkowego poranka, idąc ramię w ramię, przekroczyli krąg ognisk enklawy i rozplynęli się we mgle. Nikt nie widział jak odchodzą.

Ten spacer nie był normalny, jeśli jakkolwiek wyprawę do Zony można było określić tym mianem. Już na peryferiach ogarnęły ich złe przecucia. Ruiny były za spokojne, zbyt ciche. Słońce tego dnia nie przedarło się przez zwały chmur i mgły. Kroczyli samotnie ulicami zrujnowanego miasta. Wskaźniki milczały. Wszystko było martwe, inne... obce. Nie tak to wyglądało, kiedy przemierzali tę drogę ostatnio.

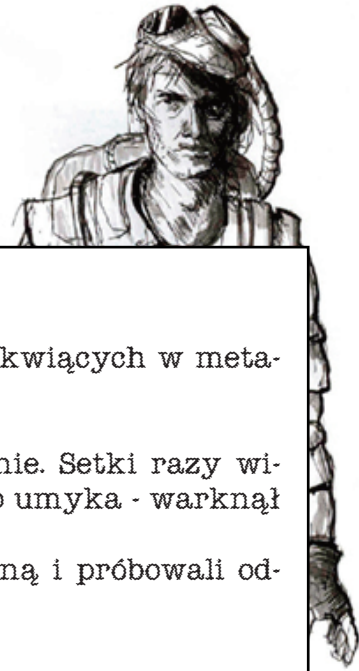
A potem weszli do Zony...

Leżała przed nim martwa. Mała dziewczynka mówiła mu, że umrze... On jej nie uwierzył. Nie chciał wierzyć. Nie zawrócił...

John poderwał karabin, ale za późno zdał sobie sprawę z tego co się dzieje. Krótka lufa rewolweru zatoczyła powolny łuk, kurek napiął się, bębenek obrócił - klik, klik. Krew i odłamki kości eksplodowały z głowy młodego Stalkera. Jego bezwładne ciało osunęło się u stóp ukochanej żony - jedynej istoty, dla której warto było żyć.

- Kolejne cienie w galerii cieni...

John uniósł głowę znad pęku kabli. Od godziny siedzieli w małej rozdzielni na dnie szybu



ewakuacyjnego i próbowali odblokować mechanizm śluzy.

- Co mówileś? - spytał.

- Co...? - stary Łowca błędził wzrokiem po rzędach płyt i procesorów tkwiących w metalowych szafkach pod ścianami.

- Nic. Zaczynam już wariować.

- Ja chyba też - mruknął John. - Mam wrażenie, że znam rozwiązanie. Setki razy widziałem już ten układ. Ale jakoś... - pokręcił bezradnie głową. - Jakoś mi to umyka - warknął z irytacją i cisnął kablami o ziemię.

- Myślisz, że to nasza wina? - szepnął Stalker, kiedy usiedli pod ścianą i próbowali odpocząć.

- Nie wiem. Cholera... Nie powinno ich tu być.

- Nas też.

- Nie. Ja muszę się tam dostać - twarz Johna ściągnęła się w wyrazie ślepej determinacji.

- Za jaką cenę? A gdyby to była Suzan?

- Ja... Nie.

Obaj umilkli. John spuścił głowę i zamknął oczy. Trwali tak w milczeniu - niepewni, czy iść dalej, nie mogąc się cofnąć. W końcu starszy mężczyzna klepnął go delikatnie w ramię.

- Przepraszam. Nie powinienem był tego mówić. Jeśli to była czyjaś wina, to moja... A teraz bierz się za te drzwi - uśmiechnął się nieznacznie. - Została nam godzina. Potem system zaleje śluzy.

John podniósł głowę. Dwie małe iskierki zatańczyły na dnie jego oczu.

Stalowe wrota rozsunęły się z głośnym sykem rozprężanego powietrza. Kłęby pary zawirowały w powietrzu, kiedy wkraczali w stalowy świat krypty. Długi korytarz i następna śluza. Sterownie znaleźli od razu. Piętnaście minut grzebania w systemie wewnętrznym i znaleźli to, czego szukali - główne archiwum na poziomie minus piątym i... zbrojownia na trzecim.

Archiwum samo w sobie stanowiło spory kompleks. Nie wszystkie dane trzymano w komputerach. Spora część, co dziwne, znajdowała się na papierze.

John myślał, że całe lata zajmie przedarcie się przez tony akt. Mieli się tylko rozejrzeć, a potem wracać do góry i wyłączyć alarm. Musieliby odłączyć jednostkę centralną, ale to był problem na potem. Najpierw trzeba było sprawdzić, czy dokumentacja spoczywa na swoim miejscu.

Kiedy zjechali na ostatni poziom i wysiedli z windy, Profesor wzdrygnął się.

- Znam to miejsce... Pracowałem tu kiedyś...

- Więc wiesz jak znaleźć to, czego szukam?

- Nie wiem do końca co to ma być, ale chyba znajdziesz to tam - wskazał Johnowi drzwi do pomieszczenia oznaczone numerem 1001 i tabliczką z napisem "Wstęp tylko dla archiwistów".

Na środku pomieszczenia stał mały terminal. Ściany niknęły pod pułkami zastawionymi teczkami i segregatorami.

John usiadł na krześle. Monitor rozbłysnął światłem i zaczął wyświetlać kolejne sprawozdania o stanie akt i informacje systemowe. Po chwili samoczynnie uruchomiła się przeglądarka graficzna. Palce powoli zbliżyły się do klawiatury. Był u celu... Wahał się tylko chwilę. Wprowadził swoje imię i nazwisko, nacisnął przycisk "szukaj w zasobach" i czekał.

Chwile mijały, jedna za drugą. Bazy danych musiały być ogromne, skoro nowoczesny sprzęt wojskowy pracował nad nimi tak długo. Wreszcie wyświetlił się spis dostępnych akt: metryka urodzenia, kartoteka policyjna, karta zdrowia, rejestr skarbu państwa, przebieg służby wojskowej... zaświadczenie o zgonie. Na końcu listy widniał napis: Projekt "Abbadon" ŚCIŚLE TAJNE. Akta nr: MSP66780LP.02.

John siedział tylko i wpatrywał się w monitor. Miał przed sobą całą swoją przeszłość.



ZONA

Wszystko czego szukał, wędrując przez powojenne pustkowia. Oto były odpowiedzi na pytania, które dręczyły go w snach od chwili przebudzenia. Miał to wszystko... i nie wiedział co z tym zrobić.

- John - Profesor stanął w drzwiach. Pospiesz się. Chcę ci coś pokazać.

Dufonse otrząsnął się i nacisnął przycisk "drukuj". Mała, laserowa drukarka w kącie pomieszczenia zaszumiała cicho.

- Jest tego z kilkaset stron, więc mamy trochę czasu. Co chcesz mi pokazać?

- Chodź...

Przeszli wzdłuż wąskiego korytarza i znaleźli się w kolejnym pomieszczeniu.

- Popatrz na to.

Na dużym hologramie wypełniającym połowę pomieszczenia, widniały trójwymiarowe schematy, szkice i wyliczenia.

- Co to, do cholery, jest? - mruknął John. - Wygląda jak...

- Jak Juggernaut, przyjacielu. To jest prototyp Juggernauta.

- Ale... Jak...?

- Teraz pamiętam. Widzisz, kiedy poszedłeś do kartoteki, ja znalazłem to miejsce. Właściwie nie musiałem szukać. I teraz wszystko pamiętam. Ja tu nie pracowałem. Ja stworzyłem to miejsce. A to jest jeden z projektów, nad którymi tu pracowano... Jeden z mniej ambitnych. To była taka zabawa... Coś jak zakład. Chcieliśmy sprawdzić, czy da się to zrobić... Zginęło siedmiu pacjentów, zanim nam się udało... Stworzyliśmy... stworzyliśmy to. Wielki hologram Juggernauta wirował przed nimi w powietrzu. Martwa, wyprana z emocji twarz umieszczonego w maszynie człowieka spoglądała tępo w pustkę.

- Stworzyliśmy teraźniejszość...

- A co ze mną? Ja też tu byłem?

Stary mężczyzna westchnął i podniósł łzawiące oczy, by spojrzeć w twarz Johna.

- Tak... Byłeś tu. Przysiali cię z pierwszym transportem. Byłeś... byłeś jednym z pierwszych, John. I jedynym, który przeżył. Byłeś wspaniały. Dalej jesteś! Nigdy nie udało nam się osiągnąć tak pełnej asymilacji. Kiedy udoskonaliśmy technikę transfuzji, obiekty... ludzie zaczęli zmieniać się w... nie wiem jak to nazwać. Przesławiali czuć i myśleć samodzielnie. Byli sprytni, tak, ale nie byli już... ludźmi. Baliśmy się ich... Ale ty. John! Byłeś wyjątkowy! Nigdy potem nam się to nie udało! I w końcu nam cię zabrali... do testów w warunkach bojowych.

Twarcz starego Stalkera nabrała rumieńców.

- Nie mogli się nadziwić! Byłeś doskonały - niewiarygodnie szybki, silny i wytrzymały, inteligentny i przewidujący. Byłeś najlepszy! Byłeś niezniszczalny! Dostaliśmy więcej funduszy. Produkcja ruszyła. Mieliliśmy zamówienie na całe dwa oddziały do kolejnych testów. W końcu zapadła decyzja o upolitycznieniu całego projektu. Kongres miał głosować nad jego zatwierdzeniem. Gdyby się udało, wyszlibyśmy z podziemi. Nasi żołnierze nieśliby sztandar wolności po całym globie! Steki takich jak ty, John, tysiące ludzi...

Głos uwiązał mu w gardle. Cichy szloch dobył się z jego klatki piersiowej. Profesor zgięty wpół padł na kolana.

- Jezu... Przepraszam, John. Przepraszam... Myślałem, że to dla dobra kraju... Dla dobra nas wszystkich... Nie wiedziałem... Nie mogłem... Skąd mogłem wiedzieć... że to... że oni...

John patrzył na klęczącego u jego stóp naukowca. Nad ich głowami ciemne, martwe oczy człowieka-maszyny wpatrywały się w pustkę.

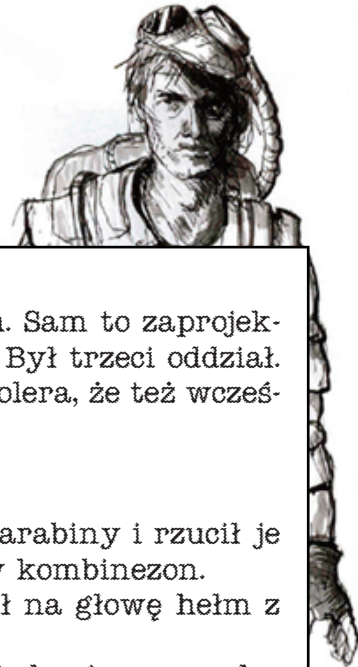
Profesor wciąż klęczał, kiedy hologram zgasł i zapłonęło czerwone światło.

- Alarm. Alarm. Wykryto intruzów. Procedura numer czterdzieści jeden kropka siedem, wdrożona. Trwa wybudzanie - rozległ się kobiecy głos z głośników.

Stalker podniósł mokrą od łez twarz. W jego oczach paliło się przerażenie.

- Pospiesz się! Pomóż mi wstać! Już!

- Co się dzieje? - warknął John, kiedy biegł korytarzem. Plik luźnych kartek i trzy



opasie segregatory usiłował upchnąć do plecaka.

- Procedura awaryjna w razie dostania się do bazy osób postronnych. Sam to zaprojektowałem - wydyszał biegnąc Stalker. - Nie powiedziałem ci wszystkiego. Był trzeci oddział. Zostawiliśmy go sobie na wszelki wypadek. Na taki właśnie wypadek! Cholera, że też wcześniej o tym nie pomyślałem!

- Czyli... gdzieś tu śpi cały oddział super-żołnierzy?

- Obawiam się, że już nie śpi...

Wpadli do zbrojowni. Profesor chwycił dwa dziwacznie wyglądające karabiny i rzucił je Johnowi. Podbiegł do kolejnej pułki i zaczął zakładać na siebie wojskowy kombinezon.

- Ubieraj się. Robiłeś to już setki razy! - krzyknął do Johna i wsadził na głowę hełm z okularem.

Miał rację. Wystarczyło, że John złapał kombinezon w ręce, a wszystkie konieczne ruchy wykonały się same. Materiał szczelnie przylgął do ciała. Poczł delikatne, znajome ukłucia na całej skórze. Kop adrenaliny był potężny. Poczł jak jego ciało staje się niewiarygodnie lekkie i gibkie. Mięśnie naprężyły się, włosy stanęły dęba. Zmysły wyostrzyły się do granic możliwości.

Wsunął hełm na głowę i zaciągnął zaczep. Skurcz bólu, gdzieś u nasady czaszki. Okular sam nasunął się na miejsce. Podłączył karabin do gniazd w rękawie i hełmie, czyniąc go częścią siebie samego. Przez całe jego ciało przebiegł dreszcz dawno zapomnianej ekstazy.

- Kapitan John Dufonse, Abbadon 1.02, melduje się, sir! - krzyknął, prężąc się na baczność.

Jedno, nie zasłonięte okularem oko naukowca rozszerzyło się i pociemniało.

- Już nie, John. Już nie - powiedział z żalem i gniewem w głosie.

Były żołnierz U.S.Army zawahał się przez moment i wybuchnął dzikim śmiechem.

Profesor prowadził - znał kompleks i, przede wszystkim, procedury awaryjne. Wiedział, że żołnierze zaraz po przebudzeniu pobiegną do zbrojowni. Procedura wybudzania to pięć minut. Bieg do arsenału, trzydzieści sekund. Pełne uzbrojenie, minuta. Dotarcie do służы głównej i ewakuacyjnej, minuta. Siedem minut i trzydzieści sekund. Za dwie minuty będą pod służą. Powinni zdążyć przed nimi.

Wypadli z wewnętrznej klatki schodowej i zwolnili. Obaj nosili buty ze skórzanymi podszwami, ale żołnierze z oddziału Abbadon 3.0 nie byli zwykłymi ludźmi. Profesor sięgnął do kieszeni i wyciągnął z niej ostrożnie mały czujnik. Postąpił dwa kroki i położył delikatnie fasolkę na ziemi. Cofnęli się z powrotem na klatkę.

Stalker włączył odbiornik. Na ekranie termowizji pojawiły się cztery pulsujące słabo punkty. Dwa w miejscu, gdzie stali i dwa mniej więcej koło służы awaryjnej. Obaj wiedzieli co to znaczy. Reszta oddziału musiała przeczesać kompleks od dołu. Profesor liczył szybko w pamięci. Mają dziesięć minut. Mało, jak na zaplanowanie i wykonanie jakiegokolwiek akcji.

John pożałował, że nie zdążył dopytać Profesora o możliwości bojowe oddziału "trzeciego".

Dwaj mężczyźni spojrzeli na siebie. Profesor powoli kiwnął głową. John zrozumiał. Fifty-fifty, jak to mówią.

Ruszyli - John przodem, Profesor metr z tyłu. Nie było czasu na zabawy systemem bazy. Oddział był na bieżąco informowany o jego stanie. Cud, że przed wojną nie zdążyli naprawić uszkodzonego systemu nadzoru wizualnego. Nie mieliby szans.

Żołnierze byli zawodowcami - już za życia najlepsi z najlepszych. Teraz, po śmierci, zmodyfikowani chemicznie i biologicznie, wspierani najnowszą technologią, byli prawdziwymi maszynami do zabijania. Jeden obserwował róg korytarza, drugi służę windy.

W ostatniej chwili, zanim John zdążył dotrzeć do zakrętu, starego naukowca olśniło. Systemy komunikacji osobistej! Nie zwracając uwagi na hałas, wyrwał z torby odbiornik. Cisnął torbę na ziemię. Dziesiątki mikroczujników rozsypało się z cichym szmerem po stalowej podłodze. Włączył aparaturę i w momencie, gdy John był o krok od przejścia, a strażnicy zaczęli biec w ich kierunku, przekręcił szybko dwa pokręta - jedno precyzyjnie, na od-



ZONA

powiednią częstotliwość, drugie na pełną moc.

Z odbiornika buchnęła fala szumu i trzasków. Dwaj żołnierze zachwiali się w biegu.

- Teraz, John! - krzyknął i wypalił z karabinu w sam środek rozrzuconych po podłodze czujników.

John skoczył. Wspomagane technologią pancerza i chemikaliami mięśnie komandosa uderzyły potężnie o posadzkę i wyrwały jego ciało do przodu. Pierwszy przeciwnik zrywał właśnie hełm z głowy. Karabin sprzężony bezpośrednio z optyką w hełmie wystrzelił dwa razy. Pierwsza kula trafiła w szyję, druga w okular. Krew bryzgnęła fontanną.

Drugi żołnierz był szybszy. Mimo szoku nerwowego na skutek przeciążenia impulsami przesyłanymi z odbiorników kombinezonu, wciąż pozostał morderczo skuteczny. Zdażył wypalić raz nim dosięgły go kule Johna. Pocisk trafił dokładnie w serce. Ciałem Dufonse'a szarpnęło i odrzuciło je w tył.

Zapomniałem, że to czterdziestki czwórki - pomyślał od rzeczy lecąc na ścianę.

Profesor stał przez dłuższą chwilę niepewny tego, co się stało. Impuls z czujników trwał jakąś sekundę, zanim nie przepaliły się mikrotranzystory. Podczas tej sekundy widział tylko, jak John odbija się od ziemi i zaczyna strzelać. Posłał jedną serię i dostał. Ale czy trafił ich? Jedna seria to mało, choć z drugiej strony nie mógł przecież "zobaczyć", jak John celuje, nawet mimo kombinezonu, który ubrał Stalker.

Po kopie adrenaliny ze stymulatorów, ruchy biegnącego doń Profesora zdawały mu się nieznośnie wolne. Poderwał się na nogi, zanim Stalker zdażył pokonać połowę dzielącego ich dystansu. Adrenalina wciąż działała. Teraz nawet silniej.

- Nic ci... - wychrypiał naukowiec.

- Nie. Szybko, zaraz tu będą.

- Wiem... Nigdy nie widziałem jak... to znaczy w laboratoriach... ale to...

- Idziemy.

Mechanizm drzwi windy został zablokowany. Nikt jednak nie przewidział, że to jeden z żołnierzy w kombinezonie bojowym będzie próbował stąd wyjść. John wyrwał ze ściany stalową rurę i dwoma umykającymi wzrokowi uderzeniami wbił ją w betonowy próg. Szarpnął potężnie. Metalowe wsporniki zaskrzyptały złowrogo. Mechanizm blokujący zawył, pompując sprężone powietrze i stanął ze zgrzytem ścieranych zębatek. Drzwi ustąpiły.

Zasilanie widny było odcięte. Dwa uderzenie w sufit kabiny i byli na zewnątrz. John chwycił stalową linę i zaczął się wspinać. Profesor skoczył za nim. Mięśnie czterdziestoletka ugięły się pod jego własnym ciężarem, ale system stymulacji nie zwiódł. Potężny zastrzyk anaboliików i glukozy prosto do mięśni sprawił, że podstarzały naukowiec niemal pofrunął w górę.

Górne drzwi były otwarte, tak jak je zostawili. Zatrzymali się w nagłej ciszy. John obrócił powoli głowę. Jego lewe oko zobaczyło małą dziewczynkę ze skakanką w ręce. Ciągłe nośła tę samą, niebieską sukienkę. Jego skryte za okularami, wspomagane anabolicznie oko zobaczyło... John zachwiał się i cofnął. Mózg nie był w stanie przyswoić dwoistości tej istoty... i implikacji jakie z niej wynikały.

Z dołu szybu dobiegły odgłosy ostrożnych kroków.

Mała dziewczynka skinęła głową.

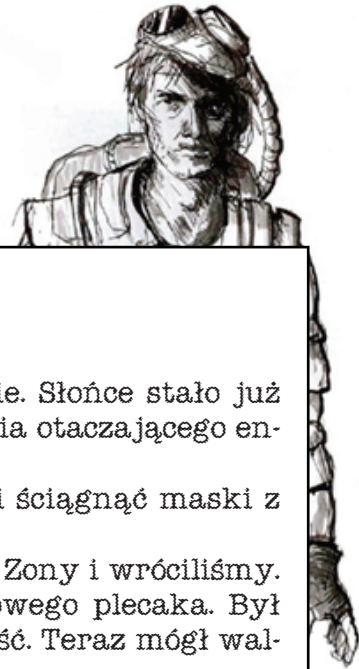
- Do trzech razy sztuka - powiedziała smutno.

John stał jak sparaliżowany.

- Zginiecie - wyszeptał koszmar. - Ale nie dziś...

- Idźcie już - powiedziała dziewczynka w niebieskiej sukience, wpatrując się w nich wielkimi, czarnymi oczami.

Pobiegli. John obejrzał się tylko raz, gdy dotarli do schodów. W oddali, na końcu czarnego korytarza majaczyła sylwetka małej dziewczynki. Potwór spoglądał w dół szybu...



ROZDZIAŁ SZÓSTY

Po całonocnej ulewie nastał parny ranek, a po nim upalne popołudnie. Słońce stało już wysoko na niebie, kiedy w oddali dostrzegli migotanie ognistego pierścienia otaczającego enklawę.

John odetchnął głęboko, kiedy wkroczyli na bezpieczny teren i mogli ściągnąć maski z ociekających potem twarzy.

Przeżyliśmy. Zdobyłem to, czego tak długo szukałem. Wyruszyliśmy do Zony i wróciliśmy. Teraz cała jego historia spoczywała w skórzanej teczce na dnie wojskowego plecaka. Był wolny! Czekano na niego nowe życie, nowy świat. Odzyskał swoją przeszłość. Teraz mógł walczyć o przyszłość.

Mijali właśnie bazar z żywnością. Słońce falami gorąca zalewało ulicę, po której szli ramie w ramie - dwaj mężczyźni z dalekiej przeszłości, ze świata, który już nie istniał, którego nikt już nie pamiętał. Dwaj wędrowcy w świecie, który wreszcie mógł stać się ich domem.

- John - odezwał się Profesor, unosząc twarz do słońca i przymykając oczy - musimy pogadać. Przypomniałem sobie jeszcze parę rzeczy.

Jakieś dziecko przebiegło po ulicy, w pogoni za uciekającą piłką.

- Chyba wiem dlaczego to wszystko się stało... Chodzi mi o wojnę...

Samotny człowiek oderwał się od tłumu pod pobliskim barem, który właśnie minęli. Szedł wolno, wymijając innych przechodniów. Podkute podeszwy jego skórzanych, lśniących butów uderzyły o rozgrzany bruk. Ostrogi lśniły w słońcu. Nie mogli go zobaczyć. Był tuż za nimi - jeden z wielu.

Profesor umilkł i zaciągnął się powoli powietrzem.

- Czujesz ten zapach, John? Zapach ludzi?

Kilka długich, sprężystych kroków, kilka cichych skrzypnięć ocierających się o siebie nogawek skórzanych spodni - mężczyzna był za ich plecami. Smągła, opalona dłoń sięgnęła pod połę długiego płaszcza.

- Dobrze być wśród ludzi - szepnął Łowca. - Dobrze pamiętać, że, mimo wszystko, to dla nich...

Oksydowany tłumik, niczym czarny wąż wyskoczył do przodu.

John obrócił się - nieznośnie wolno, jak we śnie. Profesor też zaczął się obracać. Padł strzał - cichy syk i mlaśnięcie, kiedy kula uderzyła w ciało.

- Pozdrowienia od Wodza - powiedział stojący za nimi Latynos. Jego czarne, spięte na karku włosy lśniły w słońcu.

Obrócił broń i wymierzył w głowę Johna. Dufonse szarpnął się w tył. Obok niego, jak na zwolnionym filmie, padał na ziemię Adam Dubish, człowiek, który cztery razy wrócił z Zony, największy Stalker Chicago, zwany Profesorem. Kolejny strzał. Kula minęła jego twarz z przytłumionym świstem...

Leżał na ziemi. Słońce świeciło mu w twarz. Nie mógł oderwać oczu od rozerwanej czaszki przyjaciela. Usta starego naukowca zastygły w delikatnym uśmiechu.

- Twoja kolej, Jankesie - wyszeptał stojący nad nim zabójca. Jego ciemną, przystojną twarz wykrzywił szyderczy grymas.

- Czas umierać.

Latynos napiął kurek broni. Krople potu spływały za kołnierz jego jedwabnej koszuli. John skoczył.

Nie miał już na sobie kombinezonu z podziemnego ośrodka, nie miał w ręce broni. Nie myślał o tym - nie potrzebował ich. Furia, która nagle wezbrała w jego sercu nie napotkała już niczego, co mogłoby ją powstrzymać.

Pistolet wystrzelił... Ale istota, która jeszcze przed chwilą szła ramie w ramie z przyjacielem, ścisnęła już trzymającą go dłoń. Jeden szybki ruch. Kość trzasnęła wyrywając się ostrym szpicem spod mięśni i skóry.

Uśmiech spełzył z twarzy zabójcy. W jego rozszerzonych, ciemnych oczach odbiła się twarz



NOWE ŻYCIE

małej dziewczynki. A potem uśmiechnął się do niego demon z dna piekieł.

Rozpaczliwie uderzył w maskarę, która uwięziła jego pogruchotaną kończynę w stalowym uścisku. Umięśniona dłoń w czarnej, nabijanej ćwiekami rękawicy uderzyła w twarz Johna... i odbiła się z głośnym trzaskiem pękających kości.

Krwawa mgła zalała świat Johna. Czuł, jak stalowe ćwieki tną skórę i mięśnie. Nie czuł jednak bólu. To nie były jego kości i mięśnie.

- Zabij... - szeptał dziecięcy głosik w jego głowie. - Skrzywdź go.

John pchnął potężnie. Latynos zatoczył się, jego włosy zafalowały w powietrzu, kiedy runął na pobliski stragan.

John oddychał ciężko. Mięśnie jego twarzy drżały pod napiętą skórą. Stróżki krwi ciekły po jego rozharatanym policzku.

- John - szepnęła mała dziewczynka. - On chce nas skrzywdzić, John.

Meksykanin podniósł się powoli. W jego ręce lśnił nóż.

- Skrzywdź go, John. Prooooooszę...

Uśmiechnął się szeroko.

Latynos rzucił się do przodu, pchnął potężnie. Ostrze zdobionego, archaicznego sztyletu zagłębiło się po jelec w trzewiach żołnierza, ale mała dziewczynka nie poczuła bólu... Poczowała rozkosz.

John kopnął. Piszczel mężczyzny pękł na dwoje. Krew z przerwanej tętnicy chlusnęła na gorącą ziemię, wypełniając nozdrza dziewczynki słodkim zapachem.

Zabójca nie upadł. John trzymał go za kark. W oczach Latynosa odbijał się płomień jego furii, jego uśmiech.

John wyrwał sztylet ze swoich trzewi i wbił go w gardło mężczyzny, który zabił jego stwórcę. Pociągnął, rozrywając tchawicę mordercy swojego towarzysza. Wyrwał ostrze i jednym, płynnym ruchem wybebeszył bydle, które podniosło rękę na niego. Mocz i kał bryznęły na ziemię. Pozbawione zaczepienia wnętrzności z cichym mlaśnięciem wysunęły się z jamy żołądka i spłynęły krwawą kaskadą na bruk jezdni. Powietrze wypełnił słodki odór śmierci. Mała dziewczynka zapiszczała z radości. John poderwał zakrwawioną twarz i zawył dziko.

Ludzie nie zasługiwali, by żyć. To oni stworzyli Zonę. To oni powołali do życia Molocha. To oni byli macicą zła.

Przechodnie patrzyli jak samotny mężczyzna odchodzi powoli ulicą.

Suzan... - to była jego pierwsza i jedyna myśl, kiedy krwawa mgła opadła.

Szedł zataczając się zalanymi popołudniowym skwarem ulicami. W sercu miał jedynie ciemność i pustkę. Myśl o niej wypląnęła z tego mroku tak, jak promień światła przebija duszące opary. Czuł, że musi iść do niej... za wszelką cenę. Inaczej zwariuje i nie będzie dla niego powrotu ze świata cieni.

Więc szedł. Krew wąską stróżką ciekła na ziemię.

Moh żył jeszcze, kiedy John wszedł do pomieszczenia. Byli tu wszyscy - przycichły nagle Sam, Mick, Ricky z zaczerwienionymi od płaczu i bezsilnego gniewu oczami, Gregory i kapitan Talbot.

Nie było tylko jej.

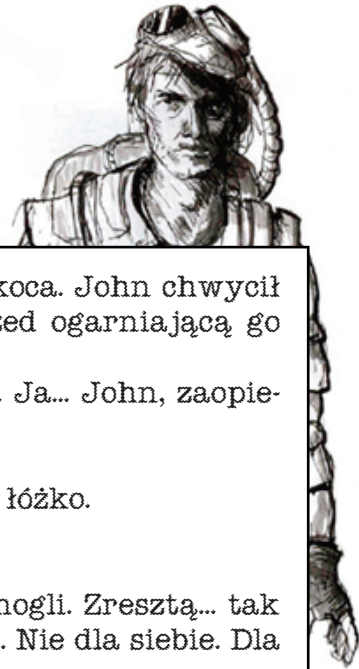
- To była Aria - powiedział Talbot, kiedy John przystanął nad ciałem umierającego olbrzyma.

- Przyszli, kiedy spał. Zabrali Suzan.

John kiwnął głową. Przykleknął przed łóżkiem. Czarny wielkolud poruszył się niespokojnie i otworzył oczy.

- Nic... nic się nie martw, braciszku - wyszeptał i uśmiechnął się krwawo. - Nie dostaliby mnie... gdybym nie spał.

NOWE ŻYCIE



Jego twarz wykrzywił grymas bólu. Wielka ręka wysunęła się spod koca. John chwycił ją mocno i uściśnił, jakby w ten sposób mógł ochronić przyjaciela przed ogarniającą go ciemnością.

- John... Ja... Nie obroniłem mojej małej siostrzyczki... Psy... zabrali ją... Ja... John, zaopiekuj się moją małą siostrzyczką... Bądź dla niej dobry, John...

Moh po raz ostatni uśmiechnął się i zamknął oczy.

- Pomścij mnie, braciszku... - jego wielkie ramię opadło bezwładnie na łóżko.

Wiedzieli, że nie przedrą się na teren Arii. Chcieli iść z nim, ale nie mogli. Zresztą... tak było lepiej. To była jego walka. Jego ostatnia walka, którą musiał wygrać. Nie dla siebie. Dla niej. I dla Mohameta.

Niewidoczny niczym cień, przemykał ciemną nocą, spowity w bury materiał wojskowego pancerza. Oksydowana lufa szybkostrzelnego, wyciszonego karabinu sterczała znad jego ramienia niczym ostrzeżenie. Ale tej nocy nikt nie miał zostać ostrzeżony. Śmierć ruszyła na polowanie pod osłoną cienia i ciszy.

Pierwszy patrol minął go o kilka kroków. Nie dostrzegli jego ciemnej sylwetki. Mógłby wyciągnąć dłoń i dotknąć któregoś z nich. Był cieniem wśród cieni.

Kolejne posterunki mijał z dziecinną łatwością. Tylko czasami któryś żołnierz podnosił głowę i tknięty niezrozumiałym strachem spoglądał w mrok.

Mógłby zabić ich wszystkich. Ale nie nadszedł jeszcze czas. Nie przybył tu mordować. Przybył tu po nią. Zemsta musiała poczekać.

Przemknął po barykadach i wewnętrznym ogrodzeniu zaledwie parę metrów od strażnicy. W enklawie Arii płonęły światła. Pojedynczy żołnierze i cywile przechadzali się po ulicach. Jakiś jeep przejechał ulicą. W środku siedział wysoki blondyn o niebieskich, zimnych oczach.

Jeep skręcił i zniknął za budynkami. John poderwał się cicho z dachu, na którym leżał i popędził w mrok.

Samochód stał zaparkowany kilka przecznic dalej, przed dużym budynkiem z zakratowanymi oknami. Przed wejściem stało dwóch żandarmów. Ci także musieli poczekać.

Pod osłoną nocy podbiegł do tylnej ściany budynku i zaczął wspinać się szybko po ceglanej konstrukcji.

Wlazł na dachu zabezpieczono od wewnątrz kłódką... Ale zapomniano o wentylacji. Cicho jak powiew wiatru wsunął się w szyb i zaczął zjeżdżać w dół. Po kilku metrach czujniki skafandra ostrzegły go przed fotokomórką. To nic. Kombinezon ją oszuka. Zsunął się do najbliższej kratki. W pomieszczeniu za nią siedziało dwóch mężczyzn. Grali w kości. Rozmawiali. Czuli się bezpiecznie... prawie tak, jak Suzan i Moh, kiedy po nich przyszli. Prawie tak, jak Profesor kilka godzin temu.

Światło zgasło. Coś trzasnęło cicho.

- Co to, do diabła... - mruknął Heinrich.

- Pewnie znowu stary żyd się pospał i zapomniał dolać do generatora - zaśmiał się Joachim.

- Trzeba było tego starego pierdziela zastrzelić, jak tylko tu wlazł, ale hauptmann ma miękkie serce - odpowiedział ze śmiechem jego towarzysz.

- Słyszałeś coś, Hein?

Cisza wypełniła nagle całe pomieszczenie.

- Hein...?

Przez plecy Joachima przemknął dreszcz.

- Hein... to ty?

Zimne ostrze zagłębiło się w jego krtani.

John spuścił oba ciała do szybu. Przystanął na chwilę i spojrzał na kości do gry leżące na stole. W jego okularze świeciły trupią zielenią.



NOWE ŻYCIE

Hauptmann Hoth sprężystym krokiem przemierzał korytarz podziemi aresztu politycznego. Zaledwie przed chwilą opuścił gabinet swojego przełożonego. Profesor był martwy. Nie potrzebowali zatem dziewczyny. Pierwotnie miała służyć jako punkt nacisku na niejakiego Johna Dufonse'a. Planowano zwabić go na teren Arii i zmusić do współpracy pod groźbą jej likwidacji.

Teraz jednak była bezużyteczna. Wynajęty zabójca z Hegemonii wykonał zadanie i sam został zabity. Ostrzegali go, że zlecenie nie jest łatwe, że powinien uważać na tego nowego. Był jednak byt pewny siebie. Jak wszyscy Latynosi. Lepszego scenariusza nie mogli sobie wymarzyć.

Rozkaz był jednoznaczny - pozbyć się dziewczyny. Rutynowa czynność, ale dlaczego obarczono nią właśnie jego? Oberst nie dał mu wyboru. Miał osobiście dopilnować egzekucji. Miał zabić młodą, niewinną kobietę... Miał zabić dziewczynę, która tak bardzo przypominała mu Ją...

Przed drzwiami celi stał tylko jeden strażnik. Hothowi nigdy nie umykały takie szczegóły - dlatego jeszcze żył. Kiedy żandarm dostrzegł hauptmanna przestąpił nerwowo z nogi na nogę i spojrzał z ukosa w kierunku drzwi, których pilnował. Hoth zauważył, że ręka żołnierza wędruje ukradkiem w kierunku futryny.

- Ani się waź! - syknął. Żołnierz znieruchomiał i wpatrzył się w ścianę naprzeciwko. Hoth minął go i z całej siły pchnął drzwi.

Drugi strażnik szamotał się właśnie z młodą kobietą na pryczy. Rozerwana koszula więziennego chałatu odsłaniała jej kształtne, małe piersi. Hoth znieruchomiał. Przestraszony i zmieszany żołnierz poderwał się z pryczy. Próbował jednocześnie zapiąć rozchełstany mundur i zasałutować.

Niebieskie oczy hauptmanna zwięziły się powoli.

- Herr hauptmann, ja...

- Milczec - głos Ericha ciał niczym sztylet. - Co tu się dzieje?

- Ja tylko, herr hauptmann... przecież ona i tak zostanie zlikwidowana...

Hoth spojrzał na siedzącą na pryczy dziewczynę. Była taka podobna do Niej... A on był bardzo zły.

- Więc pomyśleliśmy z Hansem...

- Za opuszczenie posterunku, zachowanie niegodne żołnierza Arii, zbezczeszczenie munduru i złamanie bezpośredniego rozkazu przełożonego...

Strzelił tylko raz - w głowę.

- Na mocy prawa nadanego mi przez wodza, skazuję cię na śmierć - dokończył, kiedy ciało żołnierza osunęło się na posadzkę.

- Obershutzel! - warknął. - Zabrać to stąd.

Po chwili został w celi sam z więźniem. Podeszedł do drzwi i zamknął je powoli. Stał tak długo, odwrócony do niej plecami. Nie chciał na nią patrzeć. Dlaczego zabił tego strażnika? Po co to zrobił? Dla Niej? Przecież to nic nie zmieni. Musi wykonać rozkaz. Oparł dłoń o ścianę i pochylił głowę. Jego palce zacisnęły się, znacząc mokry tynk białymi rysami.

Obrócił się powoli. Patrzyła na niego tymi wielkimi, pełnymi strachu oczami. Jej kręcone, brązowe włosy opadały na drobną, śliczną twarz. Krew wąską strużką sączyła się z rozbitych ust. Wielki siniak znaczył jej gładką skroń. Po zaczerwienionych policzkach ciekły łzy. I te oczy...

- Sheisel! - warknął i z całej siły wyrzwał pięścią w ścianę.

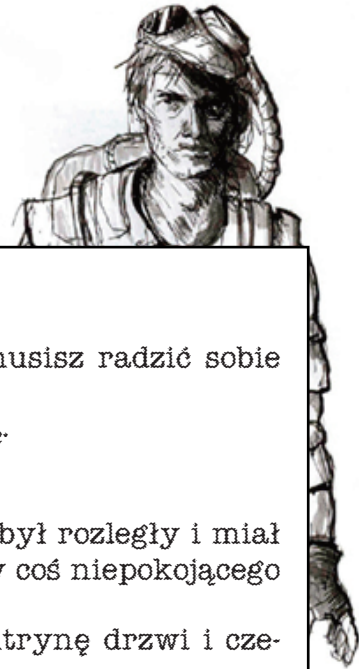
Dziewczyna skuliła się jeszcze bardziej i spuściła wzrok. Jej nagie ramię drżało. Tego było już za wiele. Nie strzeli do niej. Nieważne jakie dostał rozkazy. W jaki sposób taka istota mogłaby zaszkodzić przyszłości Arii? Jaki miało sens pozbawianie jej życia? To takich jak ona powinni bronić. Za takie kobiety powinni walczyć i umierać.

- Wstawaj... - zaczął ochryplym i łamiącym się głosem.

Pokręciła nieznacznie głową, wciąż wpatrując się w posłanie. Nagle podniosła głowę i spojrzała mu prosto w twarz.

- Strzelaj, bydlaku, jeśli chcesz! Nie będę wykonywała twoich rozkazów.

NOWE ŻYCIE



Oczy Hotha zabłysły. On miał ją zastrzelić?

- Wstań - powiedział już łagodniej.

- Nie zabiję cię... - podjął decyzję. - Pokażę ci jak stąd wyjść. Dalej musisz radzić sobie sama.

Suzan przez chwilę przyglądała mu się ze swojego miejsca pod ścianą.

John skradał się korytarzem. Przestał już liczyć zabitych - budynek był rozległy i miał wiele kondygnacji. Zaczynał niepokoić się, że już niebawem ktoś zauważy coś niepokojącego i podniesie alarm. Miał coraz mniej czasu.

Przystanął. Zza zakrętu dobiegały odgłosy kroków. Wcisnął się w futrynę drzwi i czekał.

Kroki były coraz bliżej. Wreszcie zza rogu wyszły dwie postaci. Przodem szedł jakiś oficer, a tuż za nim... Suzan.

Szarpnął krótko ramieniem. Nigdy nie chybiał z tej odległości. Tym razem jednak stało się coś dziwnego. Oficer w ostatniej chwili odskoczył w bok i ostrze noża, zamiast przebić krtań, uderzyło w jego ramię.

John jednym skokiem znalazł się przy osuwającym się na ziemię przeciwniku. Zaślepiony gniewem i strachem o Suzi, nie bacząc na hałas, poderwał karabin do strzału.

- John, nie! - krzyknęła Suzan.

Znieruchomiał.

- Ten człowiek mnie uratował... Przed chwilą zabił żołnierza, który próbował... próbował...

Dziewczyna padła w jego ramiona. Przywarła do niego z całych sił, wtulając swoją drobną twarz w jego tors. Objął ją delikatnie ramieniem i przytknął oczy... tylko na moment.

- Dzisiaj jest twój szczęśliwy dzień, hauptmannie - powiedział spoglądając znad jej głowy na leżącego na ziemi oficera.

- Nie zabiję cię... - dodał po chwili. - Do następnego razu.

Niemiec skinął krótko głową. John obrócił się i ruszył korytarzem prowadząc za sobą Suzan.

- Czekajcie - szepnął z trudem Hoth.

- W tamtą stronę - spojrzał w kierunku odnogi korytarza, którą właśnie mijali.

John obejrzał się i krótko skinął mu głową.

Motocykl mknął po czarnym pasie autostrady. Ruiny Umarłego Miasta zostały daleko za nimi. W oddali majaczyły jeszcze ciemne kikuty jego czarnych wież. Zostawili za sobą przeszłość, przed nimi była przyszłość. Mknęli na jej spotkanie na starym, zdezelowanym Harley'u.

Jutrzenka złociła wschodni widnokrąg. Wypolerowany bak lśnił w pierwszych promieniach nadchodzącego poranka. Ciepły wiatr z zachodu rozwiewał włosy przytulonej do niego dziewczyny. Rodził się nowy dzień.

Za nimi została Zona...

ŁOWCA

Pierwszy fanowski professionbook realizowany na tak wielką skalę. Wiele miesięcy wytężonej pracy nad projektem zaowocowało osiągnięciem niespotykanego dotąd w fanowskich dodatków poziomu.

Kopalnia wiedzy o robocie i życiu łowcy, rozbudowane działy z poradami, nowe cechy, broń i sprzęt, sztuczki i wszystko to, czego oczekujesz od profesjonalnego dodatku! Stojące na najwyższym poziomie ilustracje stanowią wraz z oryginalnym komiksem wspaniałe dopełnienie treści zawartej w "Łowcy".

Już wkrótce na Orbitalu pod adresem www.neuroshima.elx.pl

Autor: Tomasz "Konor" Filipowski, ilustracje: Admat, Kutrybała, skład: Lairena, korekta i redakcja: Boromir

WWW.NEUROSHIMA.ELX.PL
Wszelkie prawa zastrzeżone

